

W DRODZE

DWUTYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI

Nr. 16

Jerozolima, 16 listopada 1943 r.

Rok I

KAZIMIERZ GRZYBOWSKI

11 LISTOPADA

Większość Polaków żyjących pamięta tę datę. W wielu miejscach jednocześnie budziła się do życia państwowość polska. W ogólnym entuzjazmie powstawał ustrój, którego widocznym symbolem stawał się wypuszczony z więzień pierwszy Naczelnik Państwa, Józef Piłsudski. W powiewie wolnościowych odej, postępu społecznego, zapominano niejednokrotnie o istotnym charakterze tego dnia. Dopiero późniejsze akty miały przynieść potwierdzenie tej tezy, że Rzeczpospolita w dniu 11 listopada 1918 roku powstała, jest kontynuacją dawnej, tej która jakkolwiek upadła z końcem XVIII stulecia, jednak nie zginęła.

Zamęt, wywołany wojną światową, układał się znowa w nowy obraz Europy. Wersalski i inne traktaty pokojowe przyniosły życie wielu ustrojom państwowym. Wiele państw, powstałych jeszcze w ciągu XIX stulecia, doznało znacznego rozszerzenia. Inne znowu poniosły terytorialne straty. Zmiany te wywołały rozmaite zachowanie się państw. Niektóre z nich, mimo strat, w dalszym ciągu stały na stanowisku kontynuacji swojej państwowości, podczas gdy np. Austria, zredukowana do czysto niemieckich obszarów, nie chciała spadku rozwalonej obuchem historii podwójnej monarchii, ale dla wygody, bezpieczeństwa i uzyskania dość zresztą problematycznych przywilejów wyrzekała się win Habsburgów i związanej z nimi przeszłości. Gdzie niegdzie zerwanie z poprzednim tworem politycznym opierało na tezie, że przewrót społeczny dokonał tak zasadniczego wstrząsu i przemian w istniejącym stanie rzeczy, że to, co z oparów makbetowego kotła czarownic wynikało, nie wiąże się z przeszłością. Nie zawsze to stanowisko dało się utrzymać. Polityka momentu, jak to dzisiaj z perspektywy historycznej widzimy, prowadziła do teorii i koncepcji, które później okazały się fałszywe i nie wytrzymały próby rzeczywistości. Trzeba je było później porzucić i powołać zdymisjonowanych świętych narodowych na stanowiska utracone.

Obie te tendencje mają swoje ideologiczne uzasadnienie. Jedną z nich, widząc cel w państwie samym, a ujmując je jako mechaniczną organizację, potrafi zmieniać od wypadku do wypadku, zależnie od sytuacji nazwę państwa, cel jego istnienia i działania, a nawet ustanawiać specjalne kalendarze, daty, od których zaczyna się nowa era.

Twórcy momentu politycznego usiłowali od niego liczyć życie tworu, który, zdaniem ich, istnienie swe zawdzięczał ich działalności. Myląc moment polityczny z istotą państwa, nie liczyli się z tym, że przekreślali w ten sposób te wszystkie wartości, które ono i naród w swoim dotychczasowym bycie tworzyli.

Drużba tendencja odrzuca formalne kryteria rodzaju organizacji państwowej. Istotną cechą jest populacyjna podstawa państwa, sytuacja polityczna i zadania, które mu stawia otaczająca rzeczywistość. Los narodu i jego misja dziejowa, to ważniejsze kryteria niż rodzaj organizacji państwowej.

W Polsce odrzuca pewne było, że powstała dawna Rzeczpospolita. Wyraziło się to w postanowieniach Traktatów, które mówiły o przywróceniu narodowi polskiemu niepodległości, której został niesłusznie pozbawiony, o ponownym nawiązaniu przerwanych stosunków dyplomatycznych. W Gdańsku usiłowano stworzyć sytuację podobną do tej, która istniała przed rozbiorami. Traktat Ryski postanawiał, że Rzeczpospolita Polska zrzeka się terytoriów, położonych na wschód do linii granicznej. Postanowienia Traktatu Wersalskiego stwierdzające kontynuację dawnej Rzeczypospolitej, stosowały tę zasadę w sprawie sukcesji majątku państwowego zaborców i policzenia go na poczet odszkodowań.

W piśmiennictwie naukowym i politycznym Polski nie było poważnych usiłowań zerwania z historią Rzeczypospolitej. Od czasu do czasu pojawiają się idee oparcia państwa na nowej koncepcji politycznej, wynikającej z tego z faktu, że zmieniły się warstwy społeczne, odpowiedzialne za jego istnienie i bytowanie i będące źródłem myśli państwowej, dominującej w jego działalności.

Nie biorą te koncepcje pod uwagę tego, iż fakt dochodzenia do głosu coraz to nowych warstw społecznych jest zjawiskiem powszechnym.

Pomijając już całą kwestię prawną ważności traktatów f rozbiorowych, fak-

tyczny układ stosunków, istniejących w tej części Europy, nie potrafił zniszczyć naturalnego prawa i dążności narodu do stworzenia własnego państwa. Każdy obywatel polski, występujący przeciw przemocy obecnej władzy, działał prawnie, a stan przemocy stwarzany należy uważać za tego rodzaju katastrofę, co wylew czy pożar, działanie siły naturalnej, która skutków prawnych nie rodzi i, gdy ustanie, poprzednie stosunki natychmiast powracają. Państwa upadają tylko wtedy, gdy ludność traci poczucie odrębności społecznej wobec najazdu, gdy zmienia się psychika społeczna mieszkańców, gdy następuje zgoda na nowy porządek. Rzeczpospolita i po rozbiorach istniała jako państwo, jakkolwiek tylko w stanie potencjalnym. Odbudowa Rzeczypospolitej, to powrót do rodzimych, samostanowionych władz, które jedynie posiadały prawną podstawę.

Mołotow-Ribbentrop jest nie ważny dlatego, że później został uchylony paktem polsko-rosyjskim z dnia 30 lipca 1941 r. Z naszego punktu widzenia traktat ten nigdy nie był ważny, niezależnie od postanowień polsko-rosyjskich. Nieważne były traktaty rozbiorowe, gdyż zostały wymuszone siłą na Sejmie Niemym, przyczem ostatni, trzeci rozbiór nawet tej formalnej zgody nie posiadał, a tak samo nieważne są wszystkie postanowienia, dotyczące spraw polskich, które zgody narodu polskiego prawnie wyrażonej nie uzyskały.

Przywykliśmy spoglądać na okres, w którym data 11 listopada 1918 r. odgrywa rolę centralną, ze sceptycyzmem. Z powątpiewaniem mówimy o rezultatach idealizmu wilsonskiego, który nie potrafił Europie zabezpieczyć pokoju na czas dłuższy. Niemniej jednak, i to trzeba przyznać bezspornie, ten okres przyniósł dopiero właściwą interpretację w

W numerze:

I. Kleszczynski: Tymczasowy rząd lubelski. — W. Weintraub: Książka, wybrukowana dobrymi chęćiami. — W. Broniewski: Rysunek. — R. Fajans: Dokoła projektu federacji krajów arabskich. — W. Bratkowski: Perspektywy gospodarcze powojennej Europy. — Z. Broncel: Litania loretańska do Najświętszej Marii Panny. — K. Estreicher: On. — Ł. Kurdybacha: Szkolnictwo w Wielkiej Brytanii. — D. Szczerbic: Opinie angielskie. — O działalności Funduszu Kultury Narodowej. — (as-set): Nonparel mówi. — ww.: Przegląd polityczny. — Z prasy obcej. — Kronika polska.



Przyjazd Marszałka Józefa Piłsudskiego z Magdeburga do Warszawy.



Warszawska młodzież akademicka rozbraja żołnierzy niemieckich.

Z punktu widzenia międzynarodowego kontynuacja naszej państwowości w oparciu o świadomość narodową grupy ludnościowej stanowi jedyne uzasadnienie naszego istnienia. I ostatecznie fakt, że ta grupa ludnościowa zachowała aspiracje polityczne, wolę zorganizowania samodzielnego państwa i usunięcia ze swego terytorium wszelkich innych wpływów, które z tą wolą pozostawały w sprzeczności, była siłą, która stanowiła motor działania tej elity narodu polskiego, jaka w Kraju czy to poza jego granicami walczyła i organizowała państwowość polską.

Z naszego punktu widzenia prawa Rzeczypospolitej ograniczone traktatami, dobrowolnie zawartymi po roku 1919, nie mogą ulec zwiększeniu wskutek bezprawnej akcji z jakiegokolwiek strony. Mówi się często, iż traktat

siekierę do pnia świata zachodniego", powróciła do życia dnia 11 listopada 1918 r. Zasady jednak są wieczne i moment zrealizowania ich nie odgrywa roli. Dzisiaj, tak samo jak Aleksander w r. 1815, nikt nie ma wątpliwości co do istoty tego prawa i co do tego, że Państwo Polskie będzie istniało. Siły, które zmierzają pod taką czy inną pokrywką czy formą do unicestwienia państwowości polskiej, powołując się na prawa rasowe czy względy ekonomiczne, powtarzają stare zbrodnie i stare błędy.

Jeżeli by ktoś chciał krótko zdefiniować naszą epokę, to prawdopodobnie w definicji dużą rolę odegrałoby słowo nihilizm. I w polityce międzynarodowej pogarda dla prawa i konsekwencji, z niego wypływających, dla bytu jednostek i narodów, pochodząca ideologicznie ze szkoły Machiavella, stanowi w dniu dzisiejszym dominujący czynnik. Przychodzą jednak momenty, w których, gdy życie i byt narodu stanowią stawkę gry politycznej, zapomniane prawdy wydobywają się na światło dzienne. W takich momentach słychać słowa, mówiące o wolności, o prawie, o poświęceniu, o walce na śmierć i życie.

My Polacy od 150 lat żyjemy taką właśnie chwilą. Legalni reprezentanci naszego narodu od chwili upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej do dnia 11 listopada 1918 r. żyli tylko wielkimi hasłami i tylko wielkie cele im przyświecały. Nie mając delegacji na konferencjach i kongresach, podnosiliśmy Sprawę Polską, gdy ją zdawało się bezpowrotnie pogrzebał reakcyjny Kongres Wiedeński, bitwami powstań narodowych, uczestnictwem we wszystkich walkach o wolność ludów, Legionami. Nie targowaliśmy się o korzyści w korespondencji dyplomatycznej. Zawsze szczerze mówiliśmy o prawdach, których niechętnie słuchali mężowie stanu XIX stulecia, a których pogwałcenie zemściło się na całej Europie. Wielkie prawdy nie znoszą kompromisu i nie chciał przyjąć kompromisu Tadeusz Kościuszko ani z rąk Napoleona, ani z rąk cara Aleksandra. Nie była kompromisem Polska, której zręby zakładano 11 listopada 1918 r. Ta świadomość przedostawała się do umysłów Europy w ciągu dwudziestolecia istnienia niepodległego państwa. Myśl o niemożliwości kompromisu Polaków z Hitlerem w rozpoczęciu walki, która dzisiaj trwa już piąty rok, odegrała swoją rolę.

Wielkie prawdy, o których piszemy, i dzisiaj stają przed nami. Szermuje się często ze względów wewnętrzno-politycznych twierdzeniem, że traktat gwarancji polsko-brytyjskiej stanowi podstawę naszych nadziei na przyszłość. Nikt nie chce umniejszać znaczenia tego traktatu, ale on także jest tylko zastosowaniem praw ogólnych. Nie mieliśmy podobnego porozumienia ze Stanami Zjednoczonymi, a jednak zasady, które wypowiadają mężowie stanu Republiki Północno-Amerykańskiej, choćby w rodzaju oświadczenia Cordella Hull'a z 12 września 1943 r., dowodzą, iż prawdy, których realizacją jest nasz niepodległy byt, stanowią cel wojny tego wielkiego narodu.

Dzień 11 listopada jest rocznicą rozejmu i rocznicą odzyskania naszej organizacji państwowej. U nas data ta zamyka znacznie dłuższy okres. Nie tylko Wojna Światowa, ale cała gehenna narodu, pozbawionego zewnętrznego wyrazu swego życia, została w ten sposób zakończona. Stąd skłonność do przypisywania tej dacie innego znaczenia niż na Zachodzie.

Przed nowo-powstającą organizacją stawały problemy usunięcia śladów nie tylko zniszczenia wojennego, ale zniszczenia, które w duszach i umysłach polskich wywołał okres niewoli. Trzy dzielnice, każdą obciążoną innymi śladami niewoli, trzeba było zespolić w jedną całość, związaną wspólną myślą i ideą państwową. Musiało powstać nowe pokolenie, które żyłoby tylko historią i rzeczywistością polską. Zadania trudne, mające jednak znaczenie tylko z punktu widzenia chwili. Ten jednak aspekt daty 11 listopada nie może stanowić o charakterze jej na zawsze. Sprawa połączenia rozdartych części Rzeczypospolitej, to tylko kwestia usunięcia śladów przestępstwa. Z punktu widzenia udziału Państwa Polskiego w życiu wolnych narodów, data ta — to powrót starego członka społeczności międzynarodowej, który powrócił z tymi samymi prawami, jakie zawsze posiadał.

IGNACY KLESZCZYŃSKI

TYMCZASOWY RZĄD LUBELSKI

Najwymowniejszą jest historia.

Warto więc przypomnieć fragmenty naszej rzeczywistości z przed 25 lat, kiedy to po czteroletnich krwawych walkach na wszystkich frontach świata budowała się nasza rzeczywistość. Tworzyła się państwowość w ciężkich warunkach zimnej międzynarodowej polityki, tworzyła się pod podmuchami, bynajmniej nie... południowymi. Daje tego doskonale obraz poniższa rezolucja:

„Uznajemy prawo każdego narodu do samostanowienia o swojej formie państwowej i dążymy do pokoju światowego na podstawie porozumienia wszystkich narodów. Aby urzeczywistnić i zapewnić każdemu narodowi pełną państwową niezawisłość, zarzucamy stanowczo wszelką tajną dyplomację, która pragnie o losach narodów bez ich wiedzy i zezwolenia rozstrzygać.

Zwalczamy militarystkę i imperializm każdego narodu i wyrażamy przekonanie, że wojna światowa zakończyć się ma stworzeniem związku wolnych narodów i utworzeniem międzynarodowego trybunału rozjemczego.

Kierując się tymi zasadami, oświadczamy, jako przedstawiciele narodu polskiego:

1) Uważamy podział Polski za akt gwałtu, dokonany na narodzie polskim. Domagamy się przywrócenia niezawisłości, z wszystkich części polskich złożonego państwa polskiego, a więc z własnym wybrzeżem, jako też z obszarów, zamieszkałych przeważnie przez ludność polską, zwłaszcza Śląsk.

2) Zastrzegamy się przeciw temu, aby kwestia polska uważana była i traktowana jako wewnętrzno-polityczna sprawa któregośkolwiek z mocarstw, które dokonały podziału Polski. Odrzucamy wszelkie jednostronne rozwiązania kwestii polskiej. Domagamy się udziału przedstawicieli narodu polskiego w kongresie pokojowym świata, który ma sprawę Polski rozwiązać.

3) Dążąc do naszej wolności, dalecy jesteśmy od zamiaru panowania nad innymi narodami i popieramy dążenia każdego narodu, zmierzające do osiągnięcia jego pełnej niezawisłości.

Rezolucja ta, znamienita w swojej aktualności, mówiła o ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. Wnieśli ją do parlamentu austriackiego 2 października 1918 r. Wniosek nazywał się wnioskiem Daszyńskiego, Głębickiego i Tertila. Była to odpowiedź na traktat w Brześciu z 9 lutego 1918 r., którym mocarstwa centralne (zawsze te mocarstwa...) rozporządziły, względnie usiłowały rozporządzić się ziemią polską bez wiedzy i udziału Polski. Wydawało się przedstawicielom Niemiec i Austro-Węgier, że to nie łatwiejszego, jak swoje kłopoty łątać obcymi obszarami, że to przecież ich nie będzie bolało. Niby ziemię i ludność — nawet tak strasznie wytrzebioną wojną, toczoną przez cztery lata — można odstąpić bez zgody jej prawnych właścicieli i gospodarzy; byle mocarstwa miały spokój i pokój.

Traktat więc musiał spowodować ogromne oburzenie, przeradzające się we wrzenie w całym narodzie, na wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej. Stronictwa polityczne uchylały rezolucje i protesty. Najmocniej w politykę mocarstw centralnych godził strajk generalny z 18 lutego, podjęty przez socjalistów. Wszystkie pociągi stanęły. Postawa kolejarzy jeszcze raz okazała się wspaniałą. Mimo rewolwerów pruskich maszynistów nie ustąpili. Ulica reagowała najżywiej. Niejeden orzeł austriacki znalazł się w rynsztoku, niejeden order austriacki zdołał psi ogon.

Oburzenie objęło Naczelny Komitet Narodowy — chylący się zresztą ku upadkowi —, doszło do nowych manifestacji w Legionach. Mocno reagował XIV Kongres „Polskiej Partii Socjalno-Demokratycznej Galicji i Śląska” z maja 1918. W stanowczych uchwałach, po partych zdecydowaną postawą szeroki mas robotniczy, żądał uwolnienia m. in. uwięzionych żołnierzy i oficerów polskich, a przede wszystkim więzionego w Magdeburgu Józefa Piłsudskiego. Uchwały tego Kongresu stały się podmurówką programu „Rządu Lubelskiego”. Brygadiera Hallera na czele oddziałów legionowych ruszył na wschód, staczając krwawą bitwę pod Kaniowem i Rarańczą. Dla jednych skończyło się to bohaterską śmiercią na polu bitwy, dla innych więzieniem w Huszt na Węgrzech, inni przedarli się do Francji, by tam tworzyć błękitną armię hallerczyków.

Równocześnie z tą jednolitą reakcją całego społeczeństwa — władza wysuwała się z rąk mocarstw centralnych. Nie pomogły Austrii „pokoje chlebowe”, „Brotfrieden” — jak to tłumaczył hr. Czernin — zawarcie traktatu w Brześciu. Kłopoty mocarstw narastały z każdym dniem, a rozprężenie, idące w parze z klęskami na frontach, pozwalało okupowanym narodom coraz mocniej upominać się i niezależny byt państwowy.

POLSKA KOMISJA LIKWIDACYJNA I UWOLNIENIE KRAKOWA

W wyniku niemiecko-austriackich usiłowań pozyskania sobie społeczeństwa polskiego tymczasową władzę polską w Warszawie, reprezentowali Regenci. Przedstawiciele przyszłego króla polskiego, członkowie regencji Ostrowski, ks. Lubomirski i arcybiskup Kakowski, nie cieszyli się zaufaniem najszerzych mas społeczeństwa polskiego, które krwawiąc przez cztery lata wojny na wszystkich frontach Europy, nie chciało słyszeć o żadnej władzy narzuconej. Regenci tworzyli w oczach opinii władzę, mianowaną przez okupantów, a więc władzę obcą, która miała za sobą słynne odezwanie się na zamku w Berlinie do cesarza Wilhelma jako do „księcia pokoju”. Zdając sobie z tego sprawę, regenci zwołali na 17 października do Warszawy do sali Towarzystwa Higienicznego przedstawicieli wszystkich stronnictw i ugrupowań politycznych.

W rezultacie tych długich narad i starań ustąpił rząd Jana Kantego Steczkowskiego i powstał rząd Świerzyńskiego ze St. Głębickim w charakterze ministra spraw zagranicznych, z wolnym portfelem ministra wojny dla Józefa Piłsudskiego. Były to ostatnie tygodnie, poprzedzające upadek państw centralnych.

Tymczasem Galicja, ciesząca się największą swobodą, przystąpiła do ostatecznego rozprawienia się z okupantem. Charakterystycznym tego obrazem było uwolnienie twierdzy Krakowa przez niepodległościowców z gen. Rojną na czele.

Uwolnienie to wiąże się ściśle z powstaniem Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Z inicjatywy Koła Polskiego, które po rezolucji w sprawie traktatu w Brześciu zerwało z Wiedniem, — zwołano do Krakowa na dzień 28 października wszystkich posłów. W prezydium zasiadli hr. Skarbek, Wincenty Witos, przewodniczący Koła dr. Tertil i Ignacy Daszyński. Jako członków Komisji wybrano 23 posłów, w tym 6 ludowców, 4 z PPSD, 1 postępowca, 3 demokratów, 4 z Narodowej Demokracji, 1 ze zjednoczenia narodowego, 1 z katolicko-ludowego, 1 Ślązaka. Tak powstało ciało na pół wykonawcze, na pół ustawodawcze, stanowiące na gruzach rozpadającej się monarchii niezależną i pierwszą polską instytucję. Jej cele polityczne określały wyraźnie uchwały:

„Posłowie polscy do austriackiej Rady państwa stwierdzają raz jeszcze, że ziemię polską w obrębie monarchii austro-węgierskiej należą już do państwa polskiego.

Zgromadzenie posłów nie uznaje żadnego mianowania ze strony rządu austriackiego jakichkolwiek organów likwidacyjnych dla Galicji i Księstwa Cieszyńskiego, a rząd ten może tylko sam siebie reprezentować.

Zgromadzenie posłów uznaje, że tylko rząd polski w Warszawie jest upoważniony do zastępowania Polski na Kongresie pokojowym.

Zgromadzenie posłów wyraża stanowcze żądanie, aby do dziesięciu tygodni zwołany został polski Sejm konstytucyjny na podstawach demokratycznych oparty, w którym ziemię polską w Austro-Węgrzech otrzymałaby pełnoprawne zastępstwo ludowe.

Ale nie tylko uchwały były jedynym wynikiem powstania Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Zorganizowane sekcje przystąpiły do natychmiastowej pracy. Szczególnie ważną funkcję do spełnienia miał dział aprowizacyjny. Zniszczonym obszarom groził głód. Ignacy Daszyński, stojący na czele tego działu, zorganizował natychmiast przy pomocy kolejarzy doskonałą służbę, która czuwała nad tym, by pociągi nie wywoziły żywności na zachód.

Polska Komisja Likwidacyjna, mając swoją siedzibę w Krakowie, musiała też w pierwszym rzędzie zlikwidować armię austriacką, tworzącą załogę twierdzy Kraków.

Inicjatywę wzięli w swoje ręce socjaliści. W dniu 30 października 1918 r., dr Emil Bobrowski wraz z grupą młodzieży zajął bez większego trudu, bez rozlewu krwi, odwach krakowski przy pomocy kompanii wojska z Podgórza.

Tego samego dnia rano przybyła do biur P. K. L. do Rady Miejskiej delegacja wojska austriackiego w osobach komendanta korpusu, gen. Benignego, szefa sztabu, płk. Grima, majora Morawskiego i innych wyższych wojskowych. Przyszła prosić o przepuszczenie transportów wojskowych dla armii, znajdujących się na froncie. Scenę tę tak opisuje w swoich pamiętnikach Ignacy Daszyński:

„Siedzieli ci panowie w jednym z pokojów prezydialnych, my zaś naradzaliśmy się w dwóch dalszych. Pp. Witos, Skarbek, Tertil i ja omawialiśmy najpierw z p. Rojną sprawę objęcia przezeń całej twierdzy krakowskiej. Roja z legionistami puścił się autobusem po olbrzymim terenie twierdzy krakowskiej, pełnej koszar, magazynów, piekarni, rzeźni, warsztatów i t. d.

Tymczasem trzeba było czekać obok „Austriaków” przetrzymać. Jak na złość, nie było pod ręką żadnego polskiego żołnierza. Ale

po pewnym czasie schwytałem jakiegoś inwalidę wojennego, a potem chłopaka kilkunastoletniego w mundurze i ustawiłem ich jako wartę przed drzwiami naszych gości-jeńców, których zwodziliśmy tymczasem obietnicą, że wkrótce ułożymy depeszę do A. O. K. Godziny wlokły się nieznacznie, Roja nie wracał. Wówczas poprosiłem prezydenta miasta, p. Federowicza, aby kazał sprowadzić od Hawelki sześć obiadów z koniakiem i winem. Wkrótce humory naszych więźniów zaróżowiły się. Trzej członkowie prezydium poszli również na obiad, ja zaś czekałem na Roję. Gdy ten o wpół do trzeciej dał znać, że ma w rękach całą twierdzę, wszedłem do pokoju „Austriaków” i oznajmiłem gen. Benigniemu, że zajęliśmy twierdzę. Porwał się z miejsca i oświadczył, że twierdzę nikomu nie oddawał. Uspokoiłem go i poleciłem, aby wracał do swego prywatnego mieszkania, bo biura komendy twierdzy są dlań wzbronione. Stał się bardzo posłuszny, a miał tylko jedną prośbę. Obawiał się mianowicie granatów ręcznych, które mogli nań rzucić chłopcy gazeciarscy, stojący na dole pod Radą... Prosił więc, aby mu dać do auta owego legionistę, dla bezpieczeństwa. Takim to mestwem zabłysnął generał austriacki, który niegdyś w Karpatach posyłał całe pułki na rzeź pod kule rosyjskie!... O trzeciej popołudniu twierdza była w ręku wojska polskiego, pod dowództwem brygadiera Roji. Popołudniu dręczący mnie jeszcze ów olbrzymi rotnistrz z A. O. K., abym mu dodał jakąś asystę, młóka się wyjść na ulicę. Dodałem olbrzymowi małego chłopaczka, zwolnionego już z warty. Małec eskortował kolosa austriackiego do hotelu. Na ulicach ludność szalała. Odcinała gwiazdki i „bączki” oficerom austriackim, nie przepuszczając i generałom.”

Tak to dość sielankowo zapowiadały się pierwsze dni wolności, którą trzeba było ciężką jeszcze walką zdobywać.

Tymczasem Polska Komisja Likwidacyjna zaprzysięgała urzędników, usuwała z kraju austriackich wojskowych, przejmowała przemysł. Jednym słowem, zacierała we wszystkich możliwych dziedzinach życia Małopolski ślady okupanta. Działalności tej nie przeszkodził przyjazd ks. Witolda Czartoryskiego do Krakowa w dniu 1 listopada z ramienia Regencji. Czartoryski, mieszkując u starosty krakowskiego, zaczął wzywać do siebie urzędników, pragnąc ich ponownie zaprzysięgać. Polska Komisja Likwidacyjna pilnie strzegła swojej władzy regionalnej i niechętnie patrzyła na księcia. Na konferencji, w której ze strony Komisji Likwidacyjnej brali udział Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, Hipolit Słowiński i in. ustalono, że książę wróci do Warszawy i będzie działał uspokajająco na Regencję. Pierwsze to zetknięcie się przedstawicieli mas ludowych i arystokracji robiło wyrażenie dość kontrastowe, co najmniej rewolucyjne. Jak na ówczesne stosunki. „Wykwintny książę siedział na kanapie, a obok niego w fotelu klubowym p. Wincenty Witos, z nogami szeroko rozłożonymi. W ręku miał szczyrą kieszonkową i zacięcie czyścił paznokcie, które widocznie tego wymagały. Książę mówił, lecz od czasu do czasu rzucał okiem na paznokcie p. Witos a zdawało mi się, jak gdyby się lekko wzdrgał...” — pisze w swoich pamiętnikach cytowany wyżej Ignacy Daszyński. Nie należy się też dziwić, że wytworny książę opuścił Kraków, i to pociągami specjalnym, przygotowanym dla niego natychmiast przez Polską Komisję Likwidacyjną. Z załem przyjął Regencja sprawozdanie, ale miała inne zmartwienia. Rząd Józefa Świerzyńskiego wystąpił z szeregiem radykalnych reform i w rezultacie musiał ustąpić.

PIERWSZY RZĄD LUDOWY

W dniu 26 października Naczelną Komendą P. O. W. wydała rozkaz mobilizacyjny, zapowiadając „podjęcie trudów stworzenia zbrojnych szeregów” dla walki o Polskę. Wywołało to wewnętrzny kryzys w Polskiej Komisji Likwidacyjnej. Lewica dążyła do szybkiej rozprawy z wrogiem, i to z bronią w ręku. Obawiała się przy tym, że Regencja w tych przełomowych dniach narzuci Polsce króla. Dowodem tych nastrojów są manifestacje robotnicze na terenie Małopolski i rezolucje, odrzucające w słowach niezwykle mocnych i wymownych „nadanie” jakiegokolwiek „królika”.

W tych dniach wyjechał do Warszawy Hipolit Słowiński, który miał zbadać jakie cele przyswiecają Regentom. Ciche wskazania działaczy krakowskich polecały mu skłonienie lewicy warszawskiej do stanowczego wystąpienia przeciw tej władzy.

Hipolit Słowiński wybrał się do Regentów wraz z Arturem Słowińskim i zażądał po prostu... ich ustąpienia. Groził równocześnie utworzeniem, czy nawet już istniejącym „dyktandem ludowym”. Wywołało to oczywiście zdenerwowanie i szukanie członków dyktandatu.

Po tej misji Hipolit Słowiński wrócił do Krakowa 6 listopada i tutaj spotkał już wysłannika płk. Rydza-Śmigłego z Lublina — por. Olszawskiego. Thugutt, Hołówek i Sieroszewski rozbili w Lublinie załogę i wzywali działaczy ludowych do natychmiastowego przyjazdu.

6 listopada wieczorem wyjechali samochodem z Krakowa do Lublina: Wincenty Wi-

tos, Stapinski, Moraczewski, Daszyński i por. Olszawski. Droga przyszłego, krótkotrwałego rządu była bardzo skomplikowana. Zderzenie samochodu z drgiem rogatkowym spowodowało uderzenie w czoło Stapińskiego i wreszcie przed samym Lublinem zabrakło — zwykle tak bywa — benzyny. W końcu przyszły rząd — przyjechał do Lublina w dniu 7 listopada o godz. 3 popołudniu. Tutaj w gmachu Gubernatorstwa urzędował już płk. Burckhard-Buckacki. Austriackiego generała zmuszono do opuszczenia urzędu. Delegata Regencji Zdanowskiego zatrzymał w domu Hołówek, a Sieroszewski pozyskał batalion Rady Regencyjnej.

Wieczorem w dniu 7 listopada pod przewodnictwem Wacława Sieroszewskiego przystąpiono do narad. Pierwszy przemawiał Stanisław Thugutt. Nawijając do trudnej sytuacji politycznej kraju, do braku zaufania społeczeństwa do Regentów, których władza faktycznie nie istniała, postawił on wniosek, by utworzyć nowy rząd, w oparciu o najszerze masy społeczeństwa. W dyskusji zebrani wykazywali całkowite zrozumienie podejmowania tak brzemiennej w skutki aktu. Ignacy Daszyński zgłosił przystąpienie do tej akcji z zastrzeżeniem, by nie było to podważaniem istniejącego rządu. Dwóch rządów nie może być. Równocześnie zapewnił w imieniu mas ludowych całkowite poparcie. Wincenty Witos w dłuższych wywodach uwarunkowywał swoje przystąpienie zgodną opinią ludu, gdyż w przeciwnym razie widział niebezpieczeństwo sytuacji, jaką miał rząd Kiereńskiego z bolszewikami. Przegrana w tej rozgrywce byłaby nieszczyśtem. Proponował jako stolicę tymczasową Kraków i podkreślał konieczność skupienia wszystkich sił chłopów, robotników i inteligencji. Zaznaczył, że aczkolwiek nie posiada pełnomocnictw swojego stronnictwa, to jednak sądzi, że uzyska całkowitą zgodność. Wreszcie płk. Rydz-Śmigły mówił o konieczności szybkiego uporządkowania działalności austriackiej. Z kolei nastąpiła wymiana zdań między Witosem a Daszyńskim, w której Daszyński pytał, czy chodzi o Narodową Demokrację. Witos potwierdził. Wówczas Thugutt wtrącił, że „poza nami w tej sali nie ma niczego, co mogło reprezentować lud”. Witos argumentował wrogością duchowieństwa. Natomiast Daszyński — jak sam pisze — odpowiedział, że sprawy nie można odwiekać. Śmigły-Rydz przedstawił niebezpieczeństwo rewolucji i konieczność ujęcia władzy, szczególnie, że Koalicja mogła narzucić swój rząd jednostronny (mowa o Narodowej Demokracji).

Dnia 7 listopada na murach Lublina ukazała się wielka odezwa nowego rządu. W skład tego „Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej” weszli: Ignacy Daszyński — prezes i minister spraw zagranicznych, Stanisław Thugutt — minister spraw wewnętrznych, Jędrzej Moraczewski — minister komunikacji, prof. Dubiel — minister oświaty, Wincenty Witos, który — mimo że wyjechał do Krakowa — otrzymał tęk aprowizacji, Ziemiecki — przemysł, Arciszewski — minister pracy i opieki społecznej, Poniatowski — minister rolnictwa, Marian Malinowski — roboty publiczne, Medard Downarowicz — minister skarbu i kooperatywy, Wacław Sieroszewski — minister propagandy z wiceministrami: Andrzejem Strugiem, Tadeuszem Hołwką i Kosmowską, płk. Rydz-Śmigły — minister spraw wojskowych. Było dwóch ministrów bez teki: Błażej Stolarski i Tomasz Nocznicki. Leon Supiński miał zostać ministrem sprawiedliwości.

Ten czternastoosobowy gabinet reprezentował następujące ugrupowania polityczne: 5 socjalistów, 5 ludowców, 4 przedstawicieli grup inteligentnych i jeden wojskowy.

Manifest Rządu Lubelskiego obiecywał natychmiastowe zwołanie Sejmu Ustawodawczego, którego nie chciała zwołać ani Regencja, ani Narodowa Demokracja. Manifest przeprowadzał szereg reform w duchu demokratycznym. Stanisław Thugutt mianował komisarzy ludowych, którzy zaczęli wprowadzać w życie polecenia Rządu Tymczasowego i chronić ziemię przed rabunkiem wycofujących się wojsk austriackich. Pierwszym jego interesantem był St. Wojciechowski, działacz „Spolem”, późniejszy Prezydent R. P.

Manifest rzucił do walki masy polskie. W Radomiu, Skarżysku, Ostrowcu, Kielcach, we wszystkich miastach i miasteczkach rozbijano oddziały okupacyjne. Mniejsze powołanie od ministrów spraw wewnętrznych i spraw wojskowych miał minister skarbu, którego skarbu ograniczał się do... 400 koron austriackich.

Kiedy dnia 10 listopada odbyła się w Lublinie manifestacja tłumów — Rząd Tymczasowy mógł im oznajmić o ucieczce Wilhelma do Holandii.

W dniu 11 listopada w Pałacu Kronenberga w Warszawie przyjmował prezesa Rady Ministrów Tymczasowego Rządu — Ignacego Daszyńskiego — Józef Piłsudski, który wrócił z Magdeburga. Ignacy Daszyński otrzymał misję tworzenia rządu koalicyjnego.

Tymczasowy Rząd Republiki Ludowej w Lublinie przestał istnieć. W hotelu Brühla rodził się w ciężkiej pracy nowy rząd Rzeczypospolitej.

WIKTOR WEINTRAUB

Książka, wybrukowana dobrymi chęciami

Jan Szułdrzyński. *Dziejowa idea Państwa Polskiego*. Jeruzolima. Biblioteka Orła Białego. 1943. Str. 101 il. nl.

„Dziejowa idea“, wymieniona w ambitnym tytule książki, to idea federacji. Polska — tłumaczy autor — jeśli chce istnieć jako naprawdę niezależny organizm państwowy, nie może oprzeć się ani o Niemcy, ani o Rosję, ale musi się stać ośrodkiem federacji państw, między dwoma mocarstwami tymi leżących. Tylko wtedy, jeśli nam się uda federację taką stworzyć, będziemy mogli powiedzieć, żeśmy wygrali wojnę. Tylko ona pozwoli nam zagwarantować prawdziwą, nie fikcyjną niepodległość.

W skład federacji takiej powinny wejść państwa bałtyckie, Rumunia, Węgry, Czechosłowacja, przy czym w ramach tej federacji Polska, Węgry i Rumunia stanowić miałyby pewną całość ściślejszą, że wspólną głową państwa.

Problem federacji należy do kardynalnych naszych zagadnień politycznych. Stąd nawracają do niego ciągle enuncjacje polityków, artykuły czasopism. Poświęcone jej są wydane w ciągu ostatnich dwu lat książki i broszury prof. Henryka Tenenbauma, Mieczysława Szerera i Czesława Poznańskiego. We wszystkich jednak tych pracach zagadnienie federacji wyrastało z tak czy inaczej ujętej analizy obecnej sytuacji politycznej i gospodarczej. Argumenty historyczne, jeśli nawet były przytaczane, grały tylko rolę pomocniczą, drugorzędą. U p. Szułdrzyńskiego propozycja została odwrócona. Trzy czwarte książki poświęcone są omówieniu pewnych wybranych momentów z historii Polski, w których — zdaniem autora — ta „dziejowa idea“ Polski się uzewnętrznia. Poczem p. Szułdrzyński uważa, że dowiódł w ten sposób celowości, ba, konieczności federacji dla przyszłej Polski. Jest najwyraźniej przekonany, że skoro tę „dziejową ideę“ w przeszłości Polski uwydatnił, zadanie swoje spełnił i że z analizy możliwości i dróg urzeczywistnienia idei federacyjnej w warunkach współczesnej rzeczywistości polityczno-gospodarczej jest zwolniony. Ostatnie strony przynoszą gorący apel do czytelnika, ale w minimalnej ilości nowe argumenty. Ma go prowadzić „dziejowa idea“ i basta.

Zanim przyjrzymy się bliżej temu, jak w naszym konkretnym wypadku p. Szułdrzyński potraktował historię i w jaki sposób dowodzi słuszności swej tezy, warto zastanowić się u wstępu nad samą wartością w ogóle argumentów historycznych w publicystyce. W jakiej mierze mogą one coś udowodnić? W jakiej mierze historia jest tu *magistra vitae*?

Każda sytuacja polityczna jest wypadkową działania rozmaitych sił. Taki sam układ sił nigdy się w historii nie powtarza. Niektóre elementy przyzwyczailiśmy się co prawda uważać za wielkości stałe, konstanty. Tak jest np. z położeniem geograficznym. I tu jednak chwila zastanowienia się wystarczy dla przekonania nas, że wraz ze zmianami techniki znaczenie tych wielkości stałych zmienia się. Te same Alpy, przez które z takim nadludzkim wysiłkiem musiały się przedzierać armie Hannibala i Suworowa, stanowią stosunkowo nieznaczną przeszkodę dla bombowców Sprzymierzonych. Zmieniło się znaczenie mórz i rzek jako granic naturalnych.

I dlatego publicystyka zachodnio-europejska, jeśli już ucieka się do argumentów historycznych, to w ogromnej większości przypadków czerpie je ze stosunkowo niedalekiej przeszłości, z w. XIX i XX, a więc z czasów, w których układ sił politycznych stosunkowo mało odbiegał od współczesnego. Przed dyplomacją hitlerowską w r. 1939 stał dylemat „bismarckowski: nie dopuścić do tego, aby Rosja i Francja znalazły się w jednym, wrogim Niemcom obozie (i tu jednak z iloma korektami, jeśli porównać z tamtymi czasami!). Trudno jednak przypuścić, aby mogła ona czerpać natchnienie z rozgrywek Karola V z Franciszkiem I w walce o Włochy, albo aby stał przed nią dylemat Ottona III: czy bić Obotrytów, czy iść na Włochy.

Rozbiory, stwarzając lukę stu pięćdziesięciu lat w rozwoju państwowości polskiej, musiały także zubożyć polską myśl polityczną, pozbawiając ją tego zasobu doświadczeń i rozwiązań, które mogłyby być dla chwili współczesnej instruktywne. Odwoływanie się do czasów z wieku XV, XVII, czy XVIII, a więc czasów sprzed Wielkiej Rewolucji Francuskiej, wielkiej rewolucji przemysłowej i wielkiego rozbudzenia ruchów narodowych w XIX w., jest w tych warunkach mało pomocne i celowe.

Zapewne, publicyści zawsze i wszędzie odwoływali się i odwołują do historii. Ale takie odwołania się mają zawsze znaczenie tylko pewnych argumentów pomocniczych: publicysta pokazuje, że w bezliku rozwiązań, jakie przynosi historia, znajdowały się też i analogiczne (nigdy nie identyczne) do tych, jakie proponuje. Perspektywy układają się tu zawsze odwrotnie niż u p. Szułdrzyńskiego. To nie historia uzasadnia koncepcję polityczną, ale koncepcja ta — o ile jest świeża i oryginalna — rzuca nowe światło na historię. Argumentami historycznymi uzasadniał Studnicki „konieczność“ współpracy polsko-niemieckiej. Argumentami historycznymi uzasadniał Dmowski „konieczność“ współpracy polsko-rosyjskiej. Jeśli ich po dziś dzień czytamy, to nie dlatego, żeby się uczyć na nich historii, ale dlatego, że

są to żywi, oryginalni publicyści. Wielu publicystów usiłowało gwałcić Klio. Udało się to tylko tym, którzy mieli po temu dość wigoru.

P. Szułdrzyński cytuje w swej książce Bobrzyńskiego. Szkoda, że nie wziął sobie do serca jego słów z końcowych „Uwag“, słów, mających tym większą wagę, że wyszły spod pióra nie tylko znakomitego historyka, ale i dużej miary męża stanu. Bobrzyński pisze tam: „Zwracając się atoli z całym zapałem do badań dziejowych, nie żądamy od dziejów naszych więcej, niż nam dać mogą, nie szukamy w nich całego programu dzisiejszej działalności i pracy“).

Kiedy się szuka w odległej przeszłości uzasadnienia współczesnych koncepcji politycznych, trzeba mieć bardzo krytyczny umysł, żeby nie wpaść w anachronizmy, grube uproszczenia, przemilczania faktów niemiłych. W książce p. Szułdrzyńskiego nieścisłości te są w dodatku zdublowane błędami, wynikłymi ze słabej znajomości historii.

Zacznijmy — od początku.

„Chrobrzy szedł do Pragi i Kijowa, ażeby wyeliminować wpływy niemieckie, podcinając rozwój młodego państwa polskiego“ (str. 68).

W rzeczywistości prawdy w tym tyle, że wyprawa kijowska Chrobrego przysłała do skutku w rezultacie traktatu w Budziszynie z cesarzem Henrykiem II i — wzięło w niej udział rycerstwo niemieckie. Była ona Niemcom bardzo na rękę. Cesarz, zaangażowany we Włoszech, obawiał się, że Bizancjum rzuci tam przeciw niemu wojska ruskie. Wyprawa kijowska Chrobrego wojska te wiązała.

A teraz przypatrzmy się, jak p. Szułdrzyński pisze o Grunwaldzie.

„W bitwie pod Grunwaldem naród polski połączony z litewskim, poparty wojskami czeskimi, pod wodzą sławnego rycerza Żyżki, zmierzył się z Cesarstwem Niemieckim i zadał jego wschodniej ekspansji cios, którego zbawienie skutki Polska odczuwała przez niemal 400 lat — do rozbiorów“ (str. 14).

W bitwie pod Grunwaldem brały udział także wojska ruskie i tatarskie. Udział ich w bitwie był napewno nie mniejszy niż „narodu litewskiego“. Ale — autorowi potrzebni byli w jego koncepcji federacyjnej Litwini i Czesi. Więc też poprostu tamtych wojsk nie zauważył. I ja ich tutaj nie przytaczam dlatego, jakobym się na podstawie tego udziału Tatarów chciał upomnieć o federację polsko-tatarską, ale poprostu dlatego, że fakty — są natrętne.

Idźmy dalej. Czy naprawdę Grunwald aż na 400 lat powstrzymał ekspansję niemiecką? Przecież już Kazimierz Jagiellończyk musiał prowadzić wojnę z Zakonem. W XVI w. Niemcy uwiąły się w ciężkie wojny religijne. W pierwszej połowie w. XVII przysłała niezwykle mordercza i niszcząca Wojna Trzydziestoletnia, w której Niemcy straciły około 30 procent swojej ludności. Nic dziwnego, że po tak strasliwym upływie krwi na długo (choć nie na 400 lat) nie byli oni zdolni do ekspansji. P. Szułdrzyński o Wojnie Trzydziestoletniej pamięta, nieco dalej też o niej wspomina, ale tutaj wołał o niej zapomnieć, z miłości dla szeroki uogólnień.

Co powiedziałszy możemy jeszcze dodać, że Żiżka jest dla nas małą pociechą przeciw Beneszwowi.

Może p. Szułdrzyński czuje się pewniej na terenie historii XVI w.? Posłuchajmy:

„To parcie Wschodu zostało zatrzymane zwycięstwem Zygmunta Starego — opartego o siłę przymierza dynastycznego z Węgrami i Czechami — w bitwie pod Orszą (1514 r.), a później w świetnych zwycięstwach Stefana Batorego“ (str. 16).

Prawda, w bitwie pod Orszą wojska polskie pobiły Moskwę, ale w wojnie ówczesnej

*) Już po napisaniu tych słów wpadł mi w ręce nr. 43 (82) „Orla Białego“ z artykułem p. Adolfa Bocheńskiego „Trudności polityczne Federacji Środkowo-Europejskiej“. W artykule tym, który jest bardzo ogólny w formie, ale tym niemniej unicestwiająco krytyką książki p. Szułdrzyńskiego, p. Bocheński idzie jeszcze dalej, — twierdzi on, że w naszym wypadku odwoływanie się do historii, do tradycji jagiellońskich, jest szkodliwe: „Nowa federacja musi mieć charakter nawskroś nowoczesny i pierwszym jej nakazem musi być zerwanie z historią, która obfituje w tyle bolesnych dla naszych sąsiadów momentów“.

Warto też zacytować z tego artykułu jeszcze jedno zdanie: „Nie nie jest jednak tak trudne do wykorzenienia z umysłów, jak naiwny historyzm i jak wiara, że to, co raz było, musi się powtórzyć“.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

RYSUNEK

Ziemio moja, droższa od innych, nie śpię, szukam wspomnień dziecińczych, baggrzę nieżyczliwie, i na papierze dom się pojawia, płoty, ganki, bzy pachnące w majowe ranki i wśród trawnika konwalie świeże — kwiaty mej matki w dniu jej imienin, ławka gąszczem bzu opleciona, dąb, co od wieków nic się nie zmienił i błogosławiąc wznosi ramiona.

wygrali carowie: oderwali przecież od Rzplitej Smoleńsk.

Może jednak p. Szułdrzyński jest mocniejszy w historii XVII w.? Przeegzaminujmy go z pokoju Karłowickiego: „W traktacie Karłowickim (1699) spuścizną po Turcji nad Dunajem podzieliła się Austria i Rosja“ (str. 75).

Dla oceny całej otchłani niewiedzy, nad jaką zdanie to zawisło, trzeba pamiętać, że Rasja zawarła pokój z Turcją nie w Karłowicach w 1699 r. (tak jak Austria i Polska), ale w trzy lata później, w r. 1702, i że uzyskała wtedy od Turcji nie posiadłości nad Dunajem, ale fortecę Azow i okręg Azowski, skąd, jak wiadomo, nad Dunaj jest jeszcze daleko.

P. Szułdrzyński w ogóle nie ma szczęścia do historii Bałkanów.

„Rozbiory Polski ostatecznie przesądziły o wpływach niemieckich i rosyjskich w krajach naddunajskich“ (str. 76). Nie, nie rozbiory. Rosja systematycznie już w w. XVIII wypierała Turcję z jednej pozycji za drugą (co prawda początkowo jeszcze nie na Bałkanach). Nie mogliśmy się temu przeciwstawić, bo byliśmy na to w w. XVIII na długo przed rozbiorami za słabi. Wpływy niemieckie zaznaczyły się na Bałkanach dużo później. W Rumunii pierwszym ich poważnym przedstawicielem był książę (później król) Karol z dynastii Hohenzollern-Sigmaringen, który wstąpił na tron w r. 1866 („Bien que je suis aujourd'hui prince de Roumanie, je suis et je reste toujours un Hohenzollern“ — pisał on do króla Wilhelma w trzy lata po wstąpieniu na tron). Odąd wpływy te stale wzrastały. Wzrastały one także i po przegranej przez Niemcy wojnie światowej w latach 1918-1939, a więc w latach istnienia niepodległego Państwa Polskiego. Nie potrafiliśmy wpłynąć tym zapobiec i — po prawdzie — nie bardzo żeśmy się o to starali.

Zaraz następne zdanie w książce brzmi:

„Wasalne księstwo Mołdawskie bezpośrednio odczuło fatalne skutki rozbiorów utratą części swoich ziem: Bukowiny na rzecz Austrii (1775) i Besarabii na rzecz Rosji (1812)“. W rzeczywistości wojska rosyjskie zajmowały Mołdawię już dużo wcześniej: okupowały one ją w czasie wojny z Turkami w latach 1736-39 oraz w czasie wojny, która skończyła się traktatem w Kuczuk Kainardzii w r. 1774.

Może lepiej jest z historią społeczną?

Uważaliśmy wszyscy, że szlachta zaściankowa, to poprostu szlachta, która z biegiem czasu zubożała, zbiedniała. Kto o tym nie wiedział z nauki historii, mógłby pamiętać z lektury „Pana Tadeusza“. P. Szułdrzyński ma tu jednak swoją teorię:

„Wady tej (jednostronności stanowej) nie mogła usunąć skąd inąd bardzo piękna instytucja, świadcząca o demokratycznych tendencjach szlachty polskiej — przyjmowanie do stanu szlacheckiego szerokich warstw, t. zw. szlachta zaściankowa“ (str. 31).

Pan Szułdrzyński pomieszał tu dwie epoki. W ten sposób szlachtę zaściankową naprawdę tworzone, ale nie w dawnej Rzplitej, tylko w latach 1938—1939.

Nic dziwnego, że przy takim traktowaniu historii bije w czytelnika na stronie 14 taka oszukująca wiadomość, jak ta, że „Jan Kochanowski i wielu innych wybitnych Polaków zwłaszcza z pośród czynnych w reformacji, studia historyczne odbywał w polskim języku na uniwersytecie w Królewcu“.

Książę Albrecht Pruski drukował w Królewcu i Elku sporo książek religijno-budujących w języku polskim dla propagandy luterskiej zarówno wśród swoich poddanych w Prusiech, jak i w Rzplitej. Ale na królewickiej Albertynie Kochanowski odbywał studia, podobnie jak przedtem w Krakowie i potem w Padwie, tak jak wszyscy studenci europejscy w XVI w. (i długo jeszcze potem), wyłącznie po łacinie. Trudno, uzasadniając nasze prawa do Prus, będziemy musieli z tego — pożał się Boże „historycznego“ — argumentu zrezygnować.

Po tym wszystkim nie zdziwi już czytelnika nic, nawet to, że p. Szułdrzyński popłatał następstwo wojny o niepodległość Stanów Amerykańskich (wybuchła w r. 1774) i Wielkiej Rewolucji Francuskiej (wybuchła w r. 1789). W jego książce czytamy o armii, powołanej na zasadzie pospolitego ruszenia: „To było hasło rewolucji francuskiej. Hasło to przejęła Ameryka Waszyngtona...“ (str. 39 — podkreślenie moje). — Co dopiero mówić o takim drobiazgu, jak ten, że p. Szułdrzyński z sir Henry Broughama (nie lorda!) zrobił z własnej nominacji premiera brytyjskiego (str. 50).

Podobnie i porównania historyczne bywają w tej książce — dla efektu. — dziwnie ma-

ło celne. Oto przykład. Autor podnosi szkodliwe skutki nieusuwalności urzędników w Polsce XVIII w. I pisze: „W istocie rzeczy Polska wieku XVIII nie była więc państwem administracyjnie jednolitym, ale raczej związkem mniejszych organizmów państwowych, czymś w rodzaju związku małych księstw niemieckich cesarstwa Habsburgów — tyle państw, ile województw“ (str. 29). Dlaczego nie powiedzieć, że tyle państw, ile starostw, skoro i starostowie byli nieusuwalni! Albo raczej dlaczego nie powiedzieć poprostu, że porównanie strzela kulą w płot, poczęści dlatego, że władza wojewodów polskich — mimo że nieusuwalnych — była niewielka, przede wszystkim jednak dla przyczyn, które znaleźć można w każdym podręczniku prawa państwowego, a które pozwolią przeprowadzić wcale wyraźną linię graniczną między polskim województwem a niemieckim księstwem XVIII w.

Zatrzymaliśmy się długo — przydługo — nad niektórymi szczegółami analizy historycznej tej książki. Recenzent nie chce bowiem, aby go w zarzutach posądzono o gołosłowność. Ważniejsze jest jednak w książce tej co innego — pewna tendencja, która tkwi u podstawy wszystkich tych analogii i zestawień historycznych.

Na samym wstępie p. Szułdrzyński nawiązuje do „Króla Ducha“ Słowackiego, „tej epopei polskiej dziejowej idei państwowej“, pisze o „realizmie“ romantyków, szuka wskazań politycznych w „Ojcie Nasz“ Cieszkowskiego. Nawiazania te są bardzo wymowne. „Król Duch“ jest dziełem zupełnie wyjątkowym, urzekającym piękności poetyckiej mimo dziwackich i mętnych koncepcji historiozoficznych, które potrafiły sprawić, że ze wszystkich wielkich arcydzieł poezji polskiej jest on niewątpliwie najrzadziej czytany. „Ojcie nasz“ jest interesującym zabłytkiem romantycznej historiozofii, imponującym rozmachem koncepcji, wzbudzającym szacunek podniosłością poziomu moralnego, ale przy tym wszystkim biada politykowi, któryby wziął go za podstawę dla swych koncepcji politycznych — w zeknięciu z twardą rzeczywistością życia w trzy zdrowaśki byłoby po nim. Oba one wyrosły na gruncie romantycznej filozofii idealistycznej, tej filozofii, która najpełniejszy swój wyraz znalazła w filozofii historii Hegla.

I oto p. Szułdrzyński jest w swych koncepcjach historiozoficznych zapóźnionym heglistą. I nic tu nie pomoże jego tłumaczenie, że — prawdopodobnie — Hegla nigdy nie czytał (i że się na niego w swej książce raz obruszył). Pan Jourdain, nie wiedząc o tym, czterdzięci lat mówił prozą.

Taki rodowód tłumaczy wiele. Tłumaczy przede wszystkim to, iż dla koncepcji politycznej nie szuka się uzasadnień w troskliwej analizie współczesnej sytuacji politycznej, gospodarczej, przesłanek strategicznych; wystarcza jako dowód, że koncepcja ta jest „dziejową ideą“, że da się wydedukować z historii (jak,—to widzieliśmy wyżej). Taki rodowód tłumaczy też te suwerenne pogardy, z jaką p. Szułdrzyński traktuje zjawiska ekonomiczne. Przyznaje im co prawda wspomniałomyślnie pewną rolę, ale tylko drugorzędą i rzecz prostą — do żadnej analizy gospodarczych przesłanek koncepcji federacyjnej się nie zniża.

I dlatego książka p. Szułdrzyńskiego może być ciekawym dokumentem bezdroży publicystyki emigracyjnej. Analogie z publicystyką — i poezją — z tamtej. Wielkiej Emigracji narzucają się same przez się. I tu i tam żarliwy patriotyzm, pokrzepiający serce w obliczu smutnej rzeczywistości wspomnieniem wspaniałych momentów przeszłości. Typowy dla emigracji brak kontaktu z rzeczywistością życia politycznego pozwala na snuć śmiałych, rozległych koncepcji, nie związanych z analizą tego, co bieżąca sytuacja polityczna przynosi. Autor nie zna wątpliwości, zastrzeżeń, serii możliwych rozwiązań, kwestii nierozstrzygniętych. Przemawia tonem kategorycznym: aut, aut.

Niestety, książce jego brak tej urzekającej szaty słownej, w jaką obleczone są arcydzieła poezji romantycznej. Pisze on językiem nie tyle może ciężkim, ile kancelaryjnie suchym, bładym i przerozrałym ubogim. Przytoczone poniżej dwa zdania nie są regułą w tej książce, są raczej wyjątkiem, ale sam fakt, że mogły się w niej znaleźć, wystawia smutne świadectwo i zdolności autora jasnego rozróżniania pojęć i jego umiejętności precyzyjnych sformułowań. Oto one: „Nacjonalizm, który nie uwzględnia historycznych praw ewolucji politycznej, nacjonalizm ahistoryczny i apañstwowo niszczy naród. Może istnieć i powinien istnieć — tylko nacjonalizm państwowy, t. j. nacjonalizm, uwzględniający dla dobra narodu ponadnacjonalistyczne potrzeby politycznej organizacji i ponadnacjonalistyczne wartości wspólnej kultury humanistycznej“ (str. 20). Czemu nie propagować raczej ponadseparatystycznego separatyzmu, albo ponadregionalnego regionalizmu? Brzmiałoby to jeszcze efektowniej, a znaczyłoby to samo.

Zagadnienie federacji jest dla nas dziś zagadnieniem kluczowym — tylko federacja potrafi nas obronić przed imperializmem naszych sąsiadów — ale droga do jego analizy prowadzi gdzie indziej: poprzez dobrą orientację we wszystkich elementach współczesnej sytuacji politycznej, gruntowną analizę sytu-

Czemu, czemu tak smutno duszy?

Książka, wybrukowana dobrymi chęciami

(dokończenie ze strony 3).

acji gospodarczej i wynikających z niej możliwości, ocenę tych przesłanek strategicznych, jakie przyniosła dzisiejsza wojna. Można się założyć, że sformułowania tej analizy nie będą tak kategoryczne, jak te, które znajdujemy u p. Szuldrzyńskiego, że nie będą one tak aprioryczne i dowolne, jak tezy jego książki (dlaczego w ramach szerszej federacji środkowo-europejskiej Polska ma stanowić jeden organizm państwowy o wspólnej głowie państwa z Węgrami i Rumunią, a nie np. z Litwą albo Czechosłowacją? I gdzie uzasadnienie potrzeby takiej federacji? Przecież nie w historii). Zato będą one miały tę siłę, jaką daje anteuszowskie zetknięcie się z ziemią.

Możnaby właściwie na tych uwagach zamknąć recenzję książki p. Szuldrzyńskiego. W końcowym jednak jej rozdziale znalazły wyraz pewne tendencje, które wymagają repliki.

Są ludzie, którzy liczą u nas na wielkość państwa Sprzymierzonych — tłumaczy autor. Ludzie tacy muszą się zawieść, tak jak Polacy niejednokrotnie zawiedli się już w toku historii. Liczenie na obcą pomoc to najpewniejsze źródło zawodów. Możemy polegać tylko na sobie, na własnej sile i własnym orężu.

W rozumowaniu takim trafna jest tylko jedna przesłanka. W rzeczywistości liczenie na „wielkość państwa” państw Zachodu, na to, że nam one to czy tamto „dadzą”, jest grubą naiwnością i ludzie, którzy na takich obliczeniach opierają swe nadzieje, będą się musieli ciężko zawieść. Rozumowanie takie jest naiwne i niemoralne: polityka nie zna prezentów ani szlachetnych wujasków.

Można jednak postawić zagadnienie inaczej: jeśli znaleźliśmy się na czas wojny we wspólnym obozie politycznym z państwami anglosaskimi, to dlatego, że pewne podstawowe interesy państwowe nasze zbiegły się z pewnymi podstawowymi interesami państw Sprzymierzonych. Otóż w pewnych warunkach interesy te zbiegać się mogą i po wojnie. Państwa anglosaskie będą wówczas popierały nasze postulaty polityczne nie dlatego, że będą „szlachetne”, „wspaniatomysłne”, ale dlatego, że bronią naszych interesów, będą równocześnie broniły swoich. Powinniśmy robić wszystko, co tylko jest w naszej mocy, aby ta płaszczyzna wspólnych interesów naszych i wielkich demokracji anglosaskich była jak najszersza i aby wspólnota tych interesów była dla szerokiej opinii tych państw jak najwyraźniejsza. Powinniśmy to czynić tym usilniej, że ostatecznie te siły, jakimi dysponujemy, są w porównaniu z tymi, jakie zmobilizowane są przeciwko nam, — miejmy odwagę powiedzenia tego sobie otwarcie, — nie tak znowu wielkie.

Łączy się to potrosze z innym zagadnieniem, również przez autora fałszywie postawionym. Występuje on bardzo energicznie przeciwko twierdzeniu, jakoby wojna współczesna była wojną ideologiczną, wojną, toczącą się na planie „fasyzm — demokracja”. Przecież — tłumaczy — demokracja Finlandia walczy po stronie totalistycznych Niemiec, z drugiej zaś strony „Anglia zacieśnia coraz bardziej stosunki z Portugalią i Hiszpanią, państwami, które szukają nowych form ustrojowych” (str. 79). Trudno o przykłady gorzej dobrane. Finlandia jest w obozie niemieckim **wyjatkami** i jest też przez państwa anglosaskie traktowana na prawach wyjątkowych. Dlaczego Stany Zjednoczone zerwały stosunki z Węgrami i Rumunią, a nie zerwały z Finlandią? Ksawery Pruszyński ogłosił niedawno w „Wiadomościach Polskich” krótki, ale ciekawy artykuł p. t. „Nauka Finlandii”, w którym dowodził, że w państwach anglosaskich sympatie dla Finów są po dziś dzień żywsze niż dla nas.

I przykład Hiszpanii nie jest najszybszym dobrany. Nie tak dawne są czasy, kiedy Hiszpanie głośno domagali się Gibraltaru i sztydził z Anglików. I dziś jeszcze audycje radiowe niemieckie często powołują się na głosy prasy hiszpańskiej. W publicystyce angielskiej panuje przekonanie, że Franko nie przetrzyma zwycięstwa Sprzymierzonych^{*)}.

Dlaczego? W Portugalii panuje umiarkowana dyktatura, podkreślająca swój charakter katolicki. Wiemy zaś dobrze, jak się nazywają „nowe formy ustrojowe”, które panują obecnie w Hiszpanii. Wspaniała w swej pasji ich ocenę moralną dał wielki francuski powieściopisarz katolicki Georges Bernanos w swoich „Les grands cimetières sous la lune”. Wiemy, kto je trzymał do — jakże krwawego — chrztu. I wiemy, że razem z upadkiem ojców chrześtnych i one muszą upaść. Dlaczego p. Szuldrzyński nie chce ich nazwać po imieniu?

*) Stosunki Wielkiej Brytanii z Hiszpanią Franco są — jeśli nie brać pod uwagę zdawkowych oficjalnych frazesów — dalekie od serdeczności. Na dowód przytoczyć można takie artykuły z prasy konserwatywnej jak: N. P. Macdonalda „Hitler and Spanish Morocco” (londyński „The Fortnightly” z lipca b. r.), Cyrila Connolly’ego „Through the Spanish Mare” („The Observer” z 18 kwietnia b. r.), Ferdinanda Tuohy „To the Case of Franco’s Spain” („The Sphere” z 29 maja b. r.) i Salvadora de Madariagi „Forecast for Spain” („The Observer” z 1 sierpnia b. r.). Artykuł de Madariagi — najogledniejszy spośród wszystkich przytoczonych tu — pisze o „Falandzie”, że „jej polityka zgarancowana jest, oczywiście, namiennie prosiowa”. W szybkim ustąpieniu Franco widzi Madariaga dla Hiszpanii ratunek przed rewolucją o charakterze skrajnie lewicowym.

Wiktor Weintraub

ROMAN FAJANS

Dokoła projektu federacji krajów arabskich

Koncepcja unii krajów arabskich nie jest zasadniczo niczym nowym i obecne rozmowy na ten temat nie są bynajmniej pierwszymi. Zjednoczenie wszystkich Arabów było od wieków celem dążeń wszystkich wielkich władców świata arabskiego i bywały w historii okresy, gdy realizacja tych zamierzeń wydawała się bliska. W czasach najnowszych wielkim szermierzem tej idei był twórca nowoczesnego Egiptu, Mohamed Ali, który nie szczędził starań w tym względzie. Ówczesna jednak koniunktura polityczna nie pozwoliła mu na dokonanie zamierzonego dzieła.

U schyłku ostatniej wojny światowej, w latach 1917-1918, zdawało się, że projekt unii tej wkroczył na realne tory. Poparcie Arabów potrzebne było Anglii w jej walce przeciw Turcji, dla wydarcia Stambułowi jego posiadłości śródziemnomorskich (Palestyna, Syria, Liban, Transjordania), i wyparcia go z wybrzeży morza Czerwonego (Saudia i Jemen). Rozpoczęła się wielka epopeja Lawrence’a, słynna w historii pod nazwą „rewolty w pustyni”. Obiecano Arabom, w zamian za poparcie aliantów, niepodległe państwo arabskie, które obejmowałoby cztery wyżej wzmiankowane kraje śródziemnomorskie oraz Irak. Stolicą tego państwa miał być Damaszek, tron zaś objąć miała dynastia Haszymidów w osobie syna władcy Hedżasu, Husseina-Feisala. Siły zbrojne arabskie, zorganizowane przez Lawrence’a i jego ludzi i dowodzone przez Feisala, wzięły udział w kampanii przeciw Turcji i były się na polach walk Hedżasu. Pod sam koniec wojny Feisal wraz z Lawrence’em wkroczyli triumfalnie do Damaszku. Zdawało się, że sen o zjednoczeniu Arabów zaczyna się realizować.

Los chciał jednak inaczej. Od dłuższego już czasu pracowali za kulisami różne wpływy, które zdołały całkowicie pokrzyżować panarabskie plany. Umowa angielsko-francuska, znana pod nazwą układu Sykes — Picot, zagwarantowała Francji decydujący wpływ na Syrię i Liban. Deklaracja Balfoura zapewniła Żydom siedzibę narodową w Palestynie. Feisal i Lawrence udali się do Paryża na konferencję pokojową i powrócili z niczym. Wbrew zobowiązaniom Lawrence’a, państwo arabskie nie zostało utworzone. Feisalowi dano na pocieszenie tron Iraku, jego bratu — tron małej Transjordanii. Hussein pozostał w swej Mekce. Mandat nad Syrią i Libanem objęła Francja, mandat nad Palestyną dostał się Anglii. Lawrence zaprotestował gwałtownie przeciw takiemu rozwiązaniu, podał się do dymisji i znikł z widowni. Sprawa unii arabskiej zeszła z politycznego porządku dnia na lat kilkanaście. Świat arabski, skrócony wewnętrznie, wyczerpywał się w walkach bratobójczych. Władca Saudii, największa bezspornie postać współczesnego świata arabskiego, Ibn Saud, wywalczył sobie dopiero krwawo swe dziesiętne stanowisko. Najnamienniejszy epizodem tej walki była jego wojna przeciw Husseinowi, zakończona wygnaniem tego ostatniego z Hedżasu i oparciem na stronie totalistycznych Niemiec. Wojna ta była jednym z etapów starej rywalizacji między tymi dwoma władcami, etapem, który okazał się decydującym i przesądził rozgrywkę na niekorzyść Husseina. Echa tej rozgrywki i posmak tej nieprzyjaźni miały przetrwać do dziś dnia i stanowią obecnie nie mały kamień na trudnej i bez tego drodze, wiodącej do zjednoczenia krajów arabskich. W Palestynie Żydzi urządzali swą siedzibę narodową i corocznie powiększali swój stan posiadania. Nad Syrią i Libanem panowali Francuzi. Egipt, zajęty własnymi sprawami i zaangażowany całkowicie w ciężką walkę polityczną o całkowitą niepodległość, nie interesował się zupełnie sprawami pan-arabskimi. Saudia trwała w zupełnym odosobnieniu.

Około roku 1930 sprawa unii arabskiej odżyła znowu. Tym razem stało się to z inicjatywy ówczesnego władcy Iraku, syna Feisala, Ghazi. W tym drugim etapie Anglia nie brała już żadnego udziału, nawet pośredniego, i patrzyła dość niechętnym okiem na ówczesne kroki w tym kierunku. Ghazi, godny spadkobierca idei Feisala, który nigdy nie zrezygnował z obiecanych mu praw władcy państwa wielko-arabskiego, był zapalonym zwolennikiem idei unii arabskiej. Znalazł on w Egipcie grupę ludzi o takiej samej ideologii, wszedł z nimi w bliski kontakt i rozpoczął wspólną akcję. Egipcjanie owi byli jednak osobistościami prywatnymi, a jeśli brali nawet udział w egipskim życiu politycznym, to w szeregach opozycji. Władzę w Egipcie piastowali wówczas, tak jak i teraz, stronnictwo „Wafd”, stworzone swego czasu przez wielkiego Zaglul paszę i mające charakter wybitnie nacjonalistyczno-chłopski. Wafd nie zajmował się nigdy, aż do owej chwili, kwestią panarabizmu. Zaprzęgnięty był wyłącznie akcją o pełną niezależność polityczną Egiptu i staraniami o poprawę warunków bytu fellaha. Problem unii arabskiej był dlań czymś całkiem nowym, nieznanym i nie budzącym bynajmniej zaufania. Tę ówczesną nieufność Wafdu do panarabskich projektów spotęgowała jeszcze ta okoliczność, że Ghazi zwrócił się w tej sprawie do egipskich czynników opozycyjnych. A już to samo wystarczało w pewnym względzie, aby stronnictwo rządzące i jego ludzie odnieśli się do samej idei negatywnie. Skończyło się więc na tym, że wobec braku poparcia tak Anglii jak i Wafdu, plany te raz jeszcze nie doprowadziły do niczego.

Na ekranie świata arabskiego pojawiło się jednak w owym czasie coś, co zupełnie niezależnie od ówczesnych inicjatorów projektu i niejako poza nimi, dało myśli ich niespodziewany impuls i natchnęło ją życiem, zapewniając Arabom z poszczególnych krajów mocną więź ideową. Tym czymś była sprawa Palestyny. W tym samym bowiem właśnie czasie wybuchły w Palestynie krwawe zamieszki arabsko-żydowskie, które, z małymi przerwami, trwały aż do chwili wybuchu wojny obecnej. I oto, dzięki temu, idea panarabska uzyskała nagle „mot d’ordre”, otrzymała hasło, które zdolne było scementować olbrzymią większość Arabów i prowadzić ich ku wspólnemu celowi. Sprawa żydowskiej siedziby narodowej w Palestynie nie zeszła już odtąd z porządku dziennego rozmów na temat zjednoczenia Arabów i stała się najpopularniejszym bodaj zagadnieniem we wszystkich krajach arabskich, zagadnieniem, w stosunku do którego cały świat arabski był i jest mniej więcej zgodny.

Trzecia faza rozpoczęła się już podczas wojny obecnej, stosunkowo nie dawno. Inicjatywa wyszła tym razem znowu z Iraku, a więc od dynastii Haszymidów. Głównymi szermierzami projektu unii są obecnie regent Iraku, Abdul ‘Illah, i premier tego państwa, Nuri Said pasza. I znowu, jak przed laty, zwrócono się do Egiptu, jako największego i rozporządzającego najbardziej ważkim głosem państwa świata arabskiego. Tym razem jednak zastosowano inną, szczęśliwszą taktykę. Nawiązano od razu kontakt z rządzającym dziś znowu „Wafdem” i jego przywódcą, obecnym premierem Egiptu, Nahas paszą, i zjednano ich dla tej idei. Wiadomo, że kwestia unii arabskiej stanowiła jeden z głównych tematów obrad podczas niedawnej wizyty regenta Iraku i premiera Nuri Said paszy w Kairze. Rozmowy te dały impuls do dalszych wizyt i pertraktacji, które prowadzone są ostatnio nader intensywnie. Po wizycie irackiej zawitał do Kairu premier Transjordanii, w ślad za nim przybył specjalny wysłannik króla Ibn Sauda, jego sekretarz osobisty, szeik Yassin. Obecnie oczekiwani są w Kairze premierzy nowych rządów Syrii i Libanu. Równocześnie emir Feisal, syn króla Ibn Sauda, piastujący tekę ministra spraw zagranicznych Saudii i odbywający obecnie podróż po Stanach Zjednoczonych, porusza nieraz kwestię unii arabskiej w swych przemówieniach i deklaracjach. Na najbliższy czas zapowiedziana jest wizyta regenta Iraku i premiera Nuri Saidy w Londynie. Wiadomo, że wszystkie rozmowy kairskie dotyczą w pierwszym rzędzie właśnie projektu unii oraz że Iracki, podczas swej przyszłej bytności w Londynie, dyskutować będą to zagadnienie z premierem Churchilllem. Jak więc widać, ruch dokoła problemu unii arabskiej jest ostatnio żywy. Zdaje się, że tym razem coś powinno wykluczyć się z tych projektów i rozmów. Ale co?

Nie łatwo jest zorientować się, jakie ramy miałyby określić projektowana unia. Jeśli ramy te miałyby przekroczyć zakres porozumień celnych, kulturalnych i prawniczych i sięgnąć w dziedzinę czysto polityczną, a nawet doprowadzić do takiego czy innego ograniczenia suwerenności poszczególnych państw arabskich wewnątrz unii, nie należałoby się chyba spodziewać udziału Egiptu ani Saudii w tej kombinacji. Jeśli chodzi o Egipt, to, jak dotychczas, rola jego w rokowaniach wstępnych wygląda raczej na patronującą, protektorską. Premier Egiptu wzięł ostatnio w swe dłoń ster rozmów preliminarnych, nie jednak nie wskazuje, aby kraj ten, posiadający dziś na Wschodzie wielką wagę gatunkową, gotów był do jakichkolwiek ograniczeń swej suwerenności na rzecz unii. Nie należy też zapominać, że Egipt nie jest właściwie krajem arabskim w ścisłym tego słowa znaczeniu i jego opinia publiczna nie jest przygotowana do tak radykalnych posunięć. Inaczej, oczywiście, przedstawiać się będzie sprawa, jeśli unia ograniczy się do skromnych ram porozumień między poszczególnymi jej członkami, porozumień o ściśle wyznaczonym, fachowym zakresie. W tym wypadku uczestnictwo Egiptu byłoby bardzo prawdopodobne.

Jeszcze bardziej skomplikowana jest kwestia Saudii. Kraj ten żył dotychczas w zupełnym niemal odcięciu od reszty świata i wszystko wskazuje na to, że izolacja ta była świadomym i logicznym wynikiem polityki króla Ibn Sauda. Stosunek króla Saudii do projektów pan-arabskich nie był dotychczas jasny. Nigdy nie udało się jeszcze uzyskać od niego wyraźniejszej deklaracji w tym względzie. Ze popiera on w zasadzie myśl porozumienia państw arabskich, to wydaje się prawdopodobne, ale jakiego porozumienia, nie bardzo wiadomo. Wątpić należy, czy zgodzi się on zrezygnować na rzecz tej unii choćby z odrobiny tak zazdrośnie dotychczas strzeżonej samodzielności swego państwa. W okresie najgorętszych walk arabsko-żydowskich w Palestynie czynniki arabskie nieraz starały się skłonić Ibn Sauda do zadeklarowania swej stanowiska. Starania te zakończyły się wprawdzie swą zasadniczą solidarność z postulatami arabskimi w tej sprawie, ale była to solidarność czysto platoniczna i ogólna, za którą w ślad nie poszedł nigdy żaden, choćby najdrobniejszy, akt polityczny. Obecnie, w

piśmie odręcznym do Nahas paszy, władca Saudii oświadczył, że przed przystąpieniem do konkretnych rozmów na temat unii załatwiona być musi sprawa Palestyny. Ale jak?

Ten problem Palestyny stanowi i nadal jedną z największych przeszkód na drodze do zrealizowania unii. W sprawie tej będzie miała ważki głos Anglia, Stany Zjednoczone, a może i inne mocarstwa. Bez udziału Palestyny jakakolwiek unia polityczna krajów arabskich jest nie do pomyślenia, a przecież Palestyna nie jest krajem niepodległym ani państwem suwerennym i nie może wcale brać bezpośredniego udziału w rokowaniach. Z drugiej strony Palestyna jest przecież żydowską siedzibą narodową. Tutaj zaś dotykamy problemu o wielkiej doniosłości międzynarodowej, niezmiennie delikatnego i trudnego. Wprawdzie kairski organ „Wafdu”, „Al Balagh”, stwierdził niedawno, że Nahas pasza posiada jakąś sensacyjną receptę na rozwiązanie tego zagadnienia i że prowadzi on już jakoby rozmowy na ten temat z zainteresowanymi czynnikami, można mieć jednak poważne wątpliwości co do szans powodzenia w tym względzie...

Są jednak i inne trudności. Nie najmniej złą wśród nich stanowią spory dynastyczne. Wspomnieliśmy już o tradycyjnej nieprzyjaźni, panującej od dawna między dynastią saudyjską a władającymi w Iraku i Transjordanii Haszymidami. Nie zatarło się jeszcze w pamięci współczesnych wspomnienie o wojnie Ibn Sauda przeciw Husseinowi i o wygnaniu Husseina z Mekki i Medyny. Tak jak dziś sprawa wygląda, na czele ewentualnej unii politycznej krajów arabskich stanąć miałyby ktoś z Haszymidów, na co znowu nie zgodzi się nigdy Ibn Saud. Nie trzeba też zapominać o różnicach religijnych, jakie dzielą poszczególne państwa arabskie. Saudyjsi są Wahabitami, co oddala ich w znacznym stopniu od wyznawców innych gałęzi Islamu. Do różnic dynastycznych dodać należy ponadto silne rywalizacje osobiste między szefami rządów poszczególnych państw arabskich, z których to szefów każdy chciałby odgrywać w projektowanej unii czołową rolę.

Nie na ostatnim też miejscu wymienić należy poważne różnice socjalne, gospodarcze i kulturalne, jakie istnieją między kandydatami do przyszłej unii arabskiej, Egipt, Syria, Liban i Palestyna z jednej strony, różnią się ogromnie od Saudii i Transjordanii — z drugiej. Irak postawić należałoby pośrodku, między tymi dwoma grupami państw, albowiem będąc w stadium przejściowym, posiada on cechy charakterystyczne zarówno jednej jak i drugiej grupy.

Kraje arabskie, należące do pierwszej grupy, uległy w ciągu ostatnich dwu dziesiątków lat daleko idącym przemianom socjalnym i gospodarczym, co spowodowało z kolei wielkie zmiany w ich poziomie kulturalnym. W krajach tych, zwłaszcza zaś w Palestynie, która swą ewolucję zawdzięcza przede wszystkim żydowskiemu elementowi imigracyjnemu, wytworzyła się w tym okresie czasu, obok dotychczasowych warstw feudalnych ludności, dość silna klasa drobnej burżuazji, odgrywającej coraz większą rolę. Mamy tu bezspornie nie do czynienia ze swego rodzaju demokracją, o ile w ogóle można użyć tego rodzaju terminu w stosunku do świata arabskiego. Klasy takiej nie ma w Saudii i w Transjordanii dotychczas ani śladu. Stosunki ekonomiczne w Egipcie, Syrii, Libanie i Palestynie (zwłaszcza w tej ostatniej) uległy ostatnio ogromnym przeobrażeniom, do czego w niemałym stopniu przyczyniła się wojna, obecność w tych krajach wielkich ilości wojsk alianckich i rozkwit przemysłu. Tego w Saudii ani w Transjordanii również nie ma. Drobnomieszczyźni, robotnik i rzemieślnik arabski z Jaffy, Bejrutu, lub Kairu nader mało przypomina dziś swego brata z Ammanu lub Mekki. Jakże więc połączyć ze sobą w jednym organizmie politycznym tak różne elementy, tak nie podobne poziomy socjalne, ekonomiczne i kulturalne?

Możliwe są różne formy unii krajów arabskich. Jeśli unia ta będzie posiadać charakter polityczny, może ona być teoretycznie albo szersza, t. zn. objąć wszystkie wzmiankowane kraje arabskie, z Egiptem, Saudią i Irakiem, albo węższa (koncepcja t. zw. Wielkiej Syrii), obejmująca tylko Syrię, Liban, Palestynę i Transjordanie. Jeśli ograniczy się do wzajemnych porozumień prawniczych, oświatowych i gospodarczych, związanych wspólnym systemem, objąć ona może, oczywiście, znowu wszystkie kraje arabskie. Uwzględniając liczne i poważne trudności różnego rodzaju, o których wspominaliśmy wyżej, oraz biorąc pod uwagę obecne warunki wojenne, mało sprzyjające radykalnym przemianom politycznym, wątpić należy, czy projekty jakiegokolwiek politycznej unii krajów arabskich mają w chwili obecnej poważniejsze szanse realizacji. Zbyt trudna jest droga, wiodąca do tego celu i zbyt zawałona kamieniami. Jest natomiast całkiem prawdopodobne, że w sprawach programów szkolnictwa, prawodawstwa i stosunków gospodarczych porozumienie między krajami arabskimi zostanie osiągnięte. A już to jedno stanowić będzie niewątpliwie poważny krok naprzód na drodze do zjednoczenia świata arabskiego.

WŁODZIMIERZ BRATKOWSKI

PERSPEKTYWY GOSPODARCZE POWOJENNEJ EUROPY

Zwycięstwo da Aliantom możliwość rozwijania problemów europejskich, zarówno tych, które wynikną z czterech lat wojny, jak i tych, które narzuca ciągły postęp gospodarczy i społeczny. Ogólnie możemy określić pierwszy z tych problemów jako odbudowę powojenną, drugi zaś jako przebudowę strukturalną. Zarówno odbudowa jak i przebudowa Europy ma aspekty polityczne, społeczne i gospodarcze. Odbudowany będzie porządek prawny, który dziś został zastąpiony prawem i bezprawiem wojny, powstana znów systemy państwowe w krajach dziś okupowanych, gospodarstwo Europy, pracujące obecnie dla niemieckiej maszyny wojennej, będzie znów dawać dochód i produktywnie zatrudnienie krajom, do których należy. Obok tego procesu i równoległe z nim musi nastąpić proces przemian tych wszystkich elementów prawa, organizacji państwowej i życia gospodarczego ku nowym formom. Nie będzie możliwości powrotu do starych, „przedwojennych“ form. Życia Europy nie można zaczynać od września 1939 r., tak jakby wojny nie było. Wojna pozostawi głębokie ślady w układzie społecznym zarówno krajów dziś okupowanych, jak i społeczeństw walczących we własnych ramach państwowych.

Dlatego obok roszczeń, które dziś mamy jako kraj wojujący, musimy stale pamiętać o postulatach, które postawi Polsce nowa sytuacja, i o tym, czego będziemy musieli dokonać, aby nasza pozycja w świecie nie polegała na roli outsidersa, ale czynnego partnera. Przemyslenie tych wszystkich wymagań sytuacji i kierunku rozwoju jest o tyle na czasie, że w obecnej fazie wojny operacje są już mniej ważne, niż negocjacje i przygotowania pokoju. Materiału do zarysowania tego obrazu powojennego świata dostarczy nam z jednej strony wojna i przemiany, które się dokonują pod jej wpływem, z drugiej strony dążenia i prądy, przejawiające się w społeczeństwach wojujących. Sceptyk powie tu, że ślady wojny znikną w ciągu paru lat, a „nowy wspaniały świat“ planów powojennych nie zostanie zrealizowany, podobnie jak nie zostały zrealizowane dawniejsze utopijne wizje reformatorów świata. Argument wydaje się słusznym, o ile wzywa do liczenia się z trudnościami i ograniczeniami praktyki życia, jest nanewno niestosowny, jako pretekst dla ludzi, którzy nie chcą lub nie umieją myśleć inaczej niż kategoriami „przedwojennymi“, ludzi, których wojna zachowała pod kloszem, do których nie dotarły w tym czasie żadne nowe doświadczenia.

*

Przemiany, które czekają Europę, ich kierunek i intensywność, zależą będą w znacznej mierze od stanu gospodarczego i społecznego krajów europejskich w momencie zakończenia działań wojennych. Pod tym względem trudno być optymistą. Najprawdopodobniej regułą będzie tu chaos, brak uznanych form władzy państwowej, długi i trudny proces powstawania nowych form życia politycznego. Wszystko to będzie miało głębokie i ujemne skutki w dziedzinie gospodarczej, bo system gospodarczy Europy jest tak skomplikowany, że żaden jego dział czy rejon nie może sprawnie funkcjonować bez uregulowanej współpracy z resztą. Wojenne regulowania gospodarstwa przyczyni się jeszcze do zwiększenia zamieszania no nagłym odpadnięciu rygorów i przepisów. Musimy pamiętać o tym, że gospodarka europejska zatraciła zupełnie automatyzm rynkowy, a miejsce jego zajęło planowanie wojenne, t. j. gospodarowanie, opierające się na nakazach rozbudowanego aparatu biurokratycznego, który może działać znośnie tylko wtedy, kiedy środki przymusu zapewniają mu posłuch, a dyrektywy są scentralizowane. Oba te warunki znikną z chwilą usunięcia autorytetu władz okupacyjnych, a to może się stać długo przed faktycznym i prawnym zastąpieniem okupacji przez inną formę władzy.

Załamaniem się Niemiec zostanie więc Europa w stanie rozbicia na zupełnie drobne rejon gospodarcze, a stan ten trwać będzie tak długo, dopóki nie odbuduje się komunikacji i więzów gospodarczych pomiędzy tymi rejonami na jakichś innych zasadach.

Jednym z najgroźniejszych skutków zarówno samej wojny, jak i dezorganizacji jej fazy końcowej będzie głód na dużych obszarach Europy. Głód ten, który w pewnych krajach okupowanych już dziś występuje, jest skutkiem nie blokady, ale wojny i tych wszystkich zmian w gospodarce, które wojna za sobą pociąga. Europa kontynentalna bez Rosji jest w wysokim stopniu samowystarczalna żywnościowo, tak że sama blokada mogłaby co najwyżej spowodować niegroźne ograniczenia żywnościowe. Oblicza się, że przywóz pokrywał w okresie bezpośrednio poprzedzającym tę wojnę tylko 5% zapotrzebowania Europy kontynentalnej na żyto i pszenicę, a braki w zbożach pastewnych wynosiły około 8%. Ogółem stopień samowystarczalności kontynentu europejskiego ujęty w kalorycznej wartości żywności oblicza się na 90%, tak że przywóz pokrywał tylko 10% zapotrzebowania. Najgorzej przedstawiało się zaopatrzenie w tłuszcz. Tu stopień samowystarczalności wynosił tylko 73%.

Ogólna sytuacja nie byłaby jeszcze tragiczna, gdyby nie trzy czynniki: 1. Nierówny podział produkcji europejskiej. Uprzemięlo-

wanie armii niemieckiej, zatrudnionych w przemyśle wojennym, i ogólnie ludności niemieckiej pogarsza sytuację pozostałych grup ludnościowych. 2. Wysokość produkcji nie mogła pozostać na poziomie przedwojennym, choćby z powodu odebrania rolnictwu dużej części zatrudnionych i zmobilizowanych do przemysłu wojennego i prac obronnych oraz pogarszającego się zaopatrzenie rolnictwa w nawozy sztuczne i maszyny. 3. Część produkcji rolnej europejskiej używana jest wprost do celów wojennych. Z tłuszczów wyrabia się materiały wybuchowe, ziemniaki przerabia się na alkohol.

Środkami zaradczym może być jedynie rzucenie dużych ilości żywności z zapasów pozagospodarczych. Zapasy te rosną w szybkim tempie od początku wojny i na przedwójku 1943 r. wynosiły 1421 mil. buszli pszenicy, co jest cyfrą olbrzymią w zestawieniu z rocznym importem zbóż chlebowych kontynentu europejskiego, który w roku 1938 wynosił tylko 144 mil. buszli. Zapasy wystarczą więc na zaspokojenie wszystkich potrzeb, nawet gdyby koniecznym było zaopatrywanie w zboże nie tylko Europy, ale także Rosji i Chin, co dziś wydaje się prawdopodobne.

Gorzej jeszcze przedstawia się sytuacja Europy, jeśli chodzi o zaopatrzenie w surowce tekstylne. I tu jednak zapasy światowe będą wystarczające na pierwszy, najgorszy okres.

Również źle wyglądać będą braki Europy kontynentalnej w środkach transportowych tak morskich, jak i kolejowych.

Organizowanie tych dostaw i reorganizowanie systemu komunikacyjnego europejskiego wymagać będzie zastąpienia centralizmu niemieckiego zarządem, zbliżonym do niego pod względem formalnej struktury i prawdopodobnie zorganizowanym równie centralistycznie. Drugim warunkiem będzie ustalenie strony finansowej tych dowozów. Europa wyjdzie z tej wojny bez żadnych zasobów finansowych, którymi mogłaby płacić za te dostawy, tak że będzie musiała się zadłużać w krajach, posiadających dziś nadwyżki żywności, surowców tekstylnych i taboru kolejowego. Właścicielami tych zapasów są dziś Stany Zjednoczone i Wielka Brytania, których rządy zakupują całe nadwyżki od krajów produkujących i finansują tworzenie zapasów. Rządy te będą z kolei finansować dożywianie Europy po wojnie. Trudności finansowe tych dostaw nie będą oczywiście momentem decydującym, zadłużenie się na te cele i to bez możliwości dania żadnych konkretnych zabezpieczeń czysto gospodarczych, osłabi bardzo silnie pozycję krajów europejskich na terenie politycznym.

Inne zagadnienia odbudowy Europy nie tak już naglące jak zapobieżenie głodowi będą obejmować usunięcie zniszczeń wojennych i ponowne nawiązanie normalnych stosunków gospodarczych, zerwanych skutkiem włączenia krajów kontynentu europejskiego do systemu wojennego niemieckiego. O rozmiarze zniszczeń nie można jeszcze dziś niczego pewnego powiedzieć. Rozszerzające się operacje mogą łatwo doprowadzić do wielokrotnego przewyższenia sumy zniszczeń z wojny poprzedniej. Zupełnie napewno można już dziś powiedzieć, że naprawa tych zniszczeń narzuci Europie rolę dłużnika na całe lata po wojnie. Import europejski przewyższać będzie eksport i tylko kredyty zagraniczne będą mogły rozwiązać problem finansowania tych deficytów bez bardzo silnego obniżenia stopy życiowej ludności. Europa potrzebowałaby będzie surowców przemysłowych i gotowych fabrykatów dla odbudowy fabryk, dróg i kolei, a ogromnie zwiększona zdolność produkcyjna przemysłu europejskiego wyspecjalizowana jest w produkcji tych rzeczy, które po wojnie stracą rynek zbytu. Przemysł produkujący to, co można sprzedać, nie dokonywał renowacji przez cały czas wojny i jego zdolność produkcyjna jest prawdopodobnie bardzo obniżona. Usunięcie zniszczeń i konieczność renowacji urządzeń przemysłowych spowoduje odpadnięcie eksportu tego wszystkiego, co przed wojną wywożono, a w wielu wypadkach konieczność przywozu. Kredyty, potrzebne dla przywrócenia przemysłu europejskim zdolności konkurowania na rynkach światowych, będą musiały być ogromne. Wysokość tych kredytów nie można dziś określić, tak jak nie można nawet w przybliżeniu oszacować wielkości zniszczeń wojennych.

O zadłużeniu Europy wobec krajów anglosaskich będzie też w dużej mierze decydować sposób, w jaki przeprowadzi się demobilizację wojskową i przemysłową. Ten proces należy jeszcze do zagadnień odbudowy, jest już jednak pierwszym krokiem ku temu układowi stosunków, który zapanuje na długie lata po wojnie. Wiemy dziś już z doświadczeń wojny poprzedniej, że zwolnienie mas kombatantów z szeregów i cofnięcie zamówień przemysłowi wojennemu jest procesem trudnym i że im wyższy był stopień wyzyskania zasobów gospodarczych dla celów wojny, im bardziej totalna była wojna, tym większe trudności. Wydatki wojenne są przez cały czas wojny potężnym czynnikiem, działającym pobudzająco na tempo produkcji. Odpadnięcie tego bodźca może doprowadzić całe życie krajów wojujących do takiego nasilenia depresji, że mogłoby to bardzo utrudnić wszelką akcję pomocy — i odbudowy. Regulowanie produkcji będzie więc koniecznością we wszystkich krajach demobilizujących i akcja przedstawiania

przemysłu na produkcję pokojową odbywać się będzie w ramach systemu, bardzo zbliżonego do gospodarki wojennej.

System gospodarki kierowanej nie będzie się chyba opierać na tylu rygorach i zakazach, ile ich widzimy w gospodarce wojennej, i skrupowanie produkcji będzie się mogło stopniowo zmniejszać — niektórzy sądzą nawet, że gospodarstwo europejskie będzie mogło wrócić do systemu z przed wojny, czy raczej z przed ustalenia się systemów gospodarki kierowanej. Wydaje się, że bazowanie daleko idących wniosków na założeniu powrotu gospodarki europejskiego do metod wolno-handlowych jest dość ryzykowne. System gospodarki wolnej zawiodł w okresie likwidacji skutków poprzedniej wojny i nie ma dziś szans jego powrotu, przynajmniej trudnoby się w samym gospodarstwie europejskim doszukiwać sił, któreby zaryzykowały powtórne jego wprowadzenie. Systemy gospodarcze europejskie związane są ściśle z państwowymi systemami kontrolnymi i nie będą miały odwagi pozbyć się opieki i kierownictwa, tym bardziej że zdają sobie dobrze sprawę z konsekwencji niezdania tego egzaminu ze swobody. Wszystkie skomplikowane procesy gospodarcze, związane z demobilizacją i odbudową życia gospodarczego Europy, będą ponad siły systemów gospodarki wolnej. Zadłużenie, którego będzie wymagać odbudowa przemysłu nie będzie się mogło odbyć na rachunek przedsiębiorstw prywatnych, którym braknie do tego zdolności kredytowej i chętnych wierzycieli. Wartość substancji kapitałowej firm prywatnych — z wyjątkiem może przemysłu zbrojeniowego — będzie silnie obniżona, a ich perspektywy rentowności bardzo wątpliwe. Nie należy się więc w tych warunkach spodziewać żadnych większych kredytów zagranicznych, udzielanych wprost przemysłowi europejskiemu, jedyną drogą będą kredyty zaciągane lub gwarantowane przez państwa i inne korporacje prawa publicznego.

Sama wielkość zadłużenia, koniecznego dla przywrócenia zdolności produkcyjnej przemysłowi, zależą będzie od sposobów przeprowadzenia odbudowy. Duża część przedwojennego importu krajów europejskich miała charakter luksusowy, przykładem może być choćby import benzyny czy opon, który w dużej mierze zaspokajał tylko potrzeby turystyczne i rozrywkowe. Rozluźnienie ograniczeń spożycia musiałoby w okresie głodu towarów doprowadzić do ogromnego zwiększenia się tego luksusowego importu i ujemnych sald bilansu handlowego. Tylko utrzymanie reglamentacji spożycia, utrzymanie systemu przydziału surowców według pewnej skali ważności może zredukować ujemne salda bilansów handlowych. Wszystko to oznaczałoby utrzymanie po wojnie gospodarki kierowanej, która potrafiłaby ograniczyć zapotrzebowanie do importu najważniejszych surowców, finansowanego kredytem towarowym i spłacanego wyrobami przemysłu europejskiego.

*

Rozwiązanie zagadnień odbudowy przemysłu europejskiego będzie mogło jednak pójść wzdłuż dwóch zasadniczo różnych linii polityki gospodarczej. System gospodarki światowej może pozostać w ramach gospodarczych, zbliżonych do obecnych, t. j. może zachować zasadę centralnego kierownictwa, a wtedy regulowana gospodarka europejska będzie mogła liczyć na planowe kredyty surowcowe i ich spłacanie w towarach. Transakcje takie dałyby możliwość funkcjonowania systemowi gospodarki kierowanej w Europie przez utrzymanie podobnych form organizacji handlu w świecie. Być może, że w miejsce zakupów, dokonywanych dziś u producentów przez państwa, mogłoby wejść zakupy, dokonywane przez organizacje gospodarcze pod kontrolą państwową. Istoty rzeczy by to nie zmieniło, bo zasadnicza linia rozwoju polegała na eliminacji wolnego rynku i zastąpieniu go organizacją zakupów pod kontrolą publiczną.

Tendencje utrzymania gospodarki kierowanej po wojnie są dziś bardzo wyraźne w polityce gospodarczej brytyjskiej. Celem jest tu utrzymanie takich ram organizacyjnych, w których system przemysłowy brytyjski mógłby możliwie szybko przestawić się na gospodarkę pokojową, spłacić swe zadłużenia wojenne i przeprowadzić modernizację metod i aparatu. Wielka Brytania wybrała dla siebie gospodarkę kierowaną i dogodne by jej było widzieć ją także u swych partnerów handlowych. To dążenie widoczne jest w brytyjskich planach monetarnych, które przewidują taki ustrój pieniężny, któryby dawał państwu możliwość prowadzenia gospodarki planowej na wewnątrz i przystosowania do tych wymagań wymiany międzynarodowej.

Przy takiej polityce kraje europejskie mogłoby utrzymać gospodarkę kierowaną w ramach państwowych, uzupełniając swe braki surowcowe regulowaną wymianą i kredytami. Stopniowo tylko zniknęłyby ograniczenia konsumpcji bardziej luksusowej, a system kierowania produkcją i wymianą ustaliłby się jako normalna forma gospodarowania.

Możliwe jest jednak inne rozwiązanie. O ile Ameryka powróci szybko do produkcji i wymiany, opartej na wolnym rynku i swobodzie działania prywatnego przedsiębiorstwa a wpływ jej na układ stosunków w świecie będzie bardzo silny, może to podzielać decydująco na typ gospodarki europejskiej. Wpływ

polityki gospodarczej amerykańskiej może być tym silniejszy, że będzie poparty sankcjami w formie warunków udzielania kredytów krajom europejskim. Już dziś liczne i ważne głosy w Stanach Zjednoczonych domagają się forsowania zasady wolnego handlu w świecie powojennym. Wprowadzenie tej zasady w życie w okresie kiedy przemysł krajów europejskich będzie miał szczególnie niską zdolność konkurencyjną i słabą pozycję kredytową, doprowadziłoby do ogromnej ekspansji handlowej Ameryki, do opanowania kapitałowego Europy. Jedyną formą inwestowania byłoby w takich warunkach bezpośrednio przejmowanie przedsiębiorstw europejskich przez kapitały amerykańskie.

Pomiędzy obu tymi rozwiązaniami, stanowiącymi czyste teoretyczne typy gospodarowania, może się znaleźć także szereg form pośrednich. Powrót do zasady wolnohandlowej w Stanach Zjednoczonych może też rozwinąć się równoległe z utrzymaniem gospodarki kierowanej w Europie i Wielkiej Brytanii. W takich warunkach należy jednak liczyć się z trudnościami współzycia tak różnych form gospodarczych obok siebie i powstawaniem konfliktów, które mogłyby ujemnie odbić się na tempie odbudowy gospodarczej świata.

System gospodarki kierowanej, wprowadzony w jednym państwie, ma zbyt wąskie podstawy surowcowe i rynkowe. Próba narzucenia takiego jednolitego systemu przez okupację niemiecką dała w rezultacie jednostkę gospodarczą wprawdzie znacznie obszerniejszą, ale sztuczną, łączącą w sobie elementy nie uzupełniające się, lecz współzawodniczące ze sobą i przynależące do zupełnie różnych obszarów gospodarczych. Np. kraje zachodnioeuropejskie związane są wszystkimi węzłami gospodarczymi z obszarem atlantyckim, i bliższymi dla nich sąsiadami są kraje obu Ameryk niż Niemcy. Tu należą: Norwegia, Dania, Belgia, Holandia i Francja. Kraje śródziemnomorskie, jak np. Włochy, Grecja i Bałkany, także zostały oderwane od swego naturalnego obszaru gospodarczego. Europa więc nie jest żadną całością gospodarczą i „zjednoczenie“ jej nie mogło dać Niemcom wystarczającej podstawy do prowadzenia skutecznej polityki gospodarczej, nawet przy tej sumie środków przymusowych, jakimi władze okupacyjne dysponują.

Pozycja krajów europejskich, o ile będą one zdane na system gospodarki kierowanej we własnych granicach państwowych, byłaby bardzo słaba; oparcie Europy o system gospodarczy Imperium Brytyjskiego dałoby przemysłowi Europy tę rozszerzoną bazę surowcową i rynkową, każdy jednak system gospodarczy, niezwiązany z tym ogromnym rezerwuarem zasobów, jakim są Stany Zjednoczone, byłby już tym samym poważnie osłabiony. Tym bardziej osłabiałaby Europę wszelkie konflikty gospodarcze z Ameryką. Plany monetarne bez udziału Ameryki byłyby tylko kontynuacją i rozszerzeniem przedwojennego bloku szterlingowego.

Wybór form przyszłego życia gospodarczego Europy i świata jest procesem, który będzie w ostatecznym wyniku zależał od sił, działających w każdym z organizmów narodowych, a pod tym względem stosunki europejskie różnią się poważnie od amerykańskich.

Rozwój form ustrojowych w Europie ma swoją logikę. Kapitalistyczne formy gospodarowania przyszyły tu jako wynik procesu historycznego, który to tylko z dawnych ustrojów usunął, co było w jaskrawej kolizji z dążeniami nowego porządku i nowych wybijających się na czoło sił społecznych. Gospodarstwo europejskie nie rozwijało się „w próżni“ i były zawsze pojmowane jako wynik rozwoju historycznego, ciągle trwającego, a nie jako ostatecznie doskonały układ stosunków, oparty na jakimś niezmiennym prawie natury. Gęstość zaludnienia Europy już dawno stwarzała problemy, które wymagały ciągłego korygowania systemu gospodarczego, działającego na zasadzie prywatnego zysku. Stąd europejskie dążenia do ochrony jednostek i warstw słabszych, w dawnych systemach przejawiające się w działalności charytatywnej kościoła i klasztorów lub dawne brytyjskie „poor law“, przybierające później formę ubezpieczeń społecznych.

W ostatnich dziesiątkach lat najbardziej palącym problemem stały się wahania dochodu społecznego, tak silne, że żaden system ubezpieczeń społecznych nie mógł być środkiem zaradczym. Wszystkie ubezpieczenia masowe są ostatecznie tylko narzędziem zmiany podziału dochodu społecznego na równiejszy czy sprawiedliwszy, polegają one na odebraniu części dochodu jednemu dla oddania go drugiemu i zawodzą, gdy ilość osób wspomaganych wzrasta silnie, a cały dochód społeczny maleje. A obie te rzeczy zachodzą równocześnie w każdym kryzysie. Prawdziwy problem naszego okresu polega na stworzeniu takich warunków, któreby eliminowały katastrofalne falowania zatrudnienia w przemyśle i dochodu społecznego i tylko taki system gospodarczy, któryby zapewnił stabilizację gospodarczą na dość wysokim poziomie, mógłby usunąć niepewność jutra i umożliwić normalne funkcjonowanie systemowi ubezpieczeń społecznych.

To są prawdziwe przyczyny, dla których już przed wojną pewne kraje europejskie przy-

(Dokończenie na str. 11).



Rzeźba w drzewie wykonana przez żołnierza polskiego w Kozielsku w Z.S.R.R.

Kyrie elejson ! — Taki jest początek,
Który się w każdej powtarza litanii,
Dla nas — ten pacierz, to jedna z pamiątek
Jaką zabrali ze sobą wygnani,
Składając w serca poufny zakątek,
Gdzie jej rewizja nie sięgną profani
I gdzie trwać będzie, cokolwiek się stanie,
Wiara, nadzieja i święte wezwanie
— Zmiłuj się, Panie !

Na dróg rozstajach — O Chryste elejson ! —
Drogi powszedniej prosimy u Ciebie,
Który się naszym przypatrujesz rejsem
Po wszystkich morzach i po wszystkiej glebie,
Po wszystkich ładach, jakie w ziemi tej są,
Wśród wszystkich ludów, co w powszednim chlebie
Znalazły wojnę. Przez znaki ogniste
Nad idącymi ku swej ziemi czystej
— Zmiłuj się, Chryste !

W ogrodach Persji słodycz tuberozy
Płynię w alejach falującą wiosną,
Topole srebro sączą nad wąwozy,
A my, nieczuli, patrzymy czy rosną
Tu siwe wierzyby i płaczące brzozy,
Czy wrzos się ściele pod samotną sosną,
Wieczór mgieł welon snuje na postanie
I dzwoni dzwonów wieczorny różaniec
— Zmiłuj się, Panie !

W oazach — palmy otwarte jak kielich,
Sady kwitnące fioletem magnolii
I oczy kobiet, jak oczy gazeli —
A nam się marzy zagon czarnej roli,
Jak sen niesiony na skrzydłach anielich,
I że snem tylko — to nas sercem boli,
Każąc wargami powtarzać w pokorze :
Wśród cudów swoich, Ojcie święta, Boże,
— Zmiłuj się nad nami !

Czekamy nocy — bo co noc to samo
Wznosi się niebo i te same gwiazdy
Wychodzą z głębin podziemnych Iranu,
Krając po szlakach podobłocznej jazdy,
Które jutrenka zabiera co rano
Ze strzech słomianych u polskiego gazdy;
Przeto, że śpimy, gdy tam plug już orze,
Synu, Odkupicielu świata, Boże,
— Zmiłuj się nad nami !

O świecie słońce fontannami blasku
Wstępuje pełnią na miedziane szczyty,
Jak gdyby nagle wiatr z pustynnych piasków
Odwinął tarczę z blachy złotolitej,
Poległa niegdyś przy strąconym kasku
Jakiegoś Greka, Meda, czy Ekwity —
Przez Twe języki świecące, jak zorze
Świecą nad hełmem, Duchu Święty, Boże,
— Zmiłuj się nad nami !

Jesteśmy bowiem z kraju, gdzie nie złoty
Jest brząsk przedświt, ale gdzie czerwone
Rozbija słońce z obłoków namioty
I chmury pędzą skłębionym szwadronem,
Rzuciwszy w niebo swych delii wyloty —
Karmazynowe, na zbroi srebrzonej...
Ze tak purpurą wschód w pamięci gorze,
Przenajświętsza Trójco, Jedyny Boże,
— Zmiłuj się nad nami !

ZDZISŁAW BRONCEL

O jakże w piersi zamknąć i uwięzić
Zdradę tęsknoty, tajnej jako duchy,
Ze jej ni pojąć, ni kulą zwyciężyć,
Wstającej widmem obiekłym w łańcuchy,
Kiedy szakale szcekają na księżyc
I gwiazdy lecą jak złote okrucy —
W godzinie owej, przed serca awarią
Ratunek niosąc, Święta Panno Mario,
— Módl się za nami !

Racz przybyć do nas, Patronko łaskawa !
Twe ręce pachną miodem i tymiankiem,
Szare skowronki wlatują z rękawa
Chabrowej sukni i świergotu wiankiem
Krają nad głową, aż ptaszęca wrzawa
Budzi Dziecinę — Ty wtedy praniem
Zmywasz Jej oczy, a lico kropelką
Rosy... O Święta Boża Rodzicielko,
— Módl się za nami !

Która się cicho przechadzasz po polach
I w letnim skwarze, na między pod gruszą,
Słuchasz jak wiejska spowiada się dola,
Grając po łąkach fujałąk pastuszą,
Która się ziołem stroisz, gdy po zbiorach
Na Twych ołtarzach kłosey ziarnem proszą,
Aureolę dźwigając wieńcami,
O wonna, Święta Panno nad Pannami,
— Módl się za nami !

Która w jesieni, płaską idąc niwą,
Wiążesz w kołyskę wiklinowe wtki,
Albo sukmaną okrywszy się siwą,
Po chłodnych rżyskach srebrne miotasz nitki,
Wieszając w słońcu pajeczce przedziwo
Dla płócien zgrzebnych Jezusowej świtki,
Która spotkanych pocieszasz bez słowa
Matko Szczęśliwa, Matko Chrystusowa —
— Módl się za nami !

Nam przecież nie mieć dzieci ani domu,
Zony, sióstr, braci, ojców ani matek,
Zaloba patrzy z każdego załomu
Strzaskanych ulic, a domu ostatek
Zapadł się z drugim uderzeniem gromu
I dziś ojczyznę nosimy w plecaku
Na siłach wiary, że kiedyś przez morze
Wrócimy do niej... Matko Łaski Bożej ,
— Módl się za nami !

I choć się teraz spodobało Panu
Zmienić bieg Wólgi i rozlewy Donu
W ożywce wody chrzcielnego Jordanu
I dać nam miejsce w dolinach Hebronu,
Gdzie wśród biblijnych sadów i burzanów
Żołnierskim butem po rózach Saronu
Maszerujemy — na drodze, gdzie Mistrza
Khuła się stopa — o Matko Najczystsza,
— Módl się za nami !

Choć pokolenie szło za pokoleniem,
By się tu śmierci ozdabiać zaszczytem,
Choć pędź tej ziemi w życia była cenie,
Historia zaś pomników granitem
Kamienowała tych, co na sumienie
Brali wyprawę za krzyżowym mitem,
I choć krzyżowym podobna dzisiejsza
Wędrowka nasza — Matko Najśliczniejsza,
— Módl się za nami !

Bo ziemi obcej, nawet Ziemi Świętej,
Nie dane karmić tych — co sercem głodni,
Wciąż się nad tantym schylają odmětem,
Ręce do tamtych zanurzając ogni.
Gdzie przed Patronką o twarzy pociętej,
W domu stojącym w kształt jednej pochodni
Wołają ludzie w siedmiokrotnych ranach :
— Matko hańbiona, a Niepokalana,
— Módl się za nami !

Dla nas kadzidło swąd ma spalenziny
I ołtarz wisi przed nami jak chusta,
W której się ciało odbija ojczyzny,
I lampy czerwień tak nam w oczy chlusta
Jak krew z batami rozrywanej blizny,
I chleb z ołtarza przyjmowany w usta
Zda się nam grzechem prawie, gdy ktoś kosa
W śmierci głodowej... — O Nienaruszona,
— Módl się za nami !

Przed głaz Golgoty i Boga relikwii,
W tum faryzejskich pozłot i klejnotów,
Jak celnik grzeszny — w żarliwej modlitwie
Niesiemy nasze niepokupne votum,
Drewniane krzyże, poświęcane w bitwie,
I miazgę ziemi, pełną łez i potu,
Stamtąd, gdzie każdy dzień nadzieję zmniejsza
Spotkania żywych... — Matko Najmilsza,
— Módl się za nami !

O ziemię prosząc, bliżej może nieba
Jesteśmy przez to, że nam przypadł udział
Największy w świecie w dziecinnych pogrzebach
Ze się nam straty liczą już nie w ludziach,
Ale w cmentarzach, że nam pierwszej trzeba
Grobow niż domów, że się z ciał zepsucia
Nędzarzom rola uczyni pożywna
Na wieki wieków... — O Matko Przedziwna,
— Módl się za nami !

Po kres stulecia byłoby za wiele
Modlitwy takiej — a my się modlimy
W domu, w więzieniu, w tajdze i w kościele,
Wpatrzeni w biały szczyt Jeruzolimy
Jak w Zmartwychwstania odległą niedzielę :
Uczniowie śpią już... — ale my nie śpimy
I wśród oliwnych drzew z Nauczycielem
Rachunek czyniąc męczeństwa i zdrady,
Palce łamiemy... — Matko Dobrej Rady,
— Módl się za nami !

Bowiem zapomni ziemia, żeśmy pierwsi,
Zgubie i dziejom wydana załoga,
Za kęs ojczyzny bili się nie w piersi,
Lecz pięścią w pancerz silniejszego wroga,
Zapomną ludzie, że byliśmy szersi
Ponad granice — wiarą w świat i w Boga,
Zapomną wszyscy, prócz nieprzyjaciela
Poległej mierzy... — Matko Stworzyciela,
— Módl się za nami !

Czyliż i niebo o wszystkim zapomni,
Niczym na obraz stworzone człowieczy,
Ze się podwójnie staniemy bezdomni,
Bez pospolitej i niebieskiej rzeczy,
Samotni w nocy rozgwieżdżonych gromnic,
Wyjści z ludzkiej i nadludzkiej pieczy,
Święci szubienic i glorii rozstrzelań...
O jeśliś Matką jest Odkupiciela,
— Módl się za nami !

Z TEK I FELIKSA TOPOLSKIEGO



Gen. Sikorski i płk. Cazalet.

Z TEK I FELIKSA TOPOLSKIEGO

Za nami, którzy skazani na wielkość
Bez wykonania wielkości wyroku,
Z gliny zlepieni i pchnięci w anielskość,
Spadliśmy kłęską z bezbronnych obłoków,
Kopcem rumowisk na trumnę wawelską,
Mitem strąconym skrzydłami nalołów,
W śmierci poznając, jaką wielkość stop ma
Z żelazem wojny... O Panno Roztropna,
— Módl się za nami !

Za nami, którzy w mroku kaźni bożej
Jeszcze z popiołów wyświecamy wiarg,
Jak drzewo ścięci — rośniemy jak korzeń
W przyszłość uchodząc podziemnym żagarem
Padamy w bitwach, by powstać na noże
I znówu szumiąc widmowym sztandarem,
Znów wzbici się burzą i znów spłonąć do dna,
Do dna rozpacz... — O Panno Czigodna,
— Módl się za nami !

Za nami, którym to się liczy grzechem,
Ze na uludę swej wielkości zdani,
Chcieliśmy wolność wroconym oddechem
Chłonać jak radość i żywioł bez granic,
I brać ją z głodnym, gwałtownym pośpiechem
I mieć ją dla nas — i raz nie być dla niej,
Raz ją oglądać, jak się w szklanych domach
Roztrąca tęcza... — O Panno Wsławiona,
— Módl się za nami !

Za nami, którym nie dane jest zasnąć
W domu spokojnym od wojny i głodu,
Którzy wciąż tylko mamy łnić i gasnąć,
Jak błędna gwiazda wśród wolnych narodów
— O Boże, daj nam choć tyle na własność,
Ile potrzeba dla własnego grobu,
Jeżeli nie chcesz, żeby nas bezbożna
Włóczyła tłuszcza... — O Panno Wielmożna,
— Módl się za nami !

Kamieniowani przez boże kamienie,
Przez ciężar śmierci i ciężar istnienia,
Czymże jesteśmy? Dla ludów — natchnieniem,
Dla siebie — raną jęczącą w sumieniach...
O przestań wodzić nas na pokuszenie,
Zjadacz chleba w aniołów nie zmieniaj,
Nie o anielskie, lecz o ludzkie prawa
Błagamy Ciebie — O Panno Łaskawa,
— Módl się za nami !

Daj nam to szczęście, którym żyje robak,
Odzienie trawy i los lilii polnej,
Nicość ziarn piasku, które gubi woda,
Pokorę słabych i spokój pokornych —
O raczej bij w nas nieszczęściem jak w Hioba,
Depcz i uginaj, ale zostaw wolnych,
Chociażby trądem żartych ad aeternam
Maiorem Dei Gloriam... Panno Wierna,
— Módl się za nami !

Leżymy krzyżem, leżymy na twarzy,
Niepogrzebane za murami miasta !
Bodajby nigdy ziemia nie wesała
Soków śmiertelnych, z których wciąż odrasta,
Za wielka śmierci i życia za mała,
Jak gladiatorzy — ginąca w oklaskach,
A każdy okłask policzek wymiera —
Ojczyzna, los nasz... — O Arko Przymierza,
— Módl się za nami !

Jak nam mieć ojców i matek odwagę,
I z dwójga które gorsze jest bluźnierstwo :
Dzieci na przysłą wywodzić zagładę
I Bogu własne przeciwstawić męstwo,
Na losy dłonie porwijając nagie,
Czy piód swój zabić i wytracić krew swą,
Iżby zabrakło w końcu polskich kości
Sępom przeznaczę... Stolicę mądrości,
— Módl się za nami !

Któraś rodziła, zaliż wiedziała,
Ze poczynając — przybijasz do krzyża?
Przeciw tej zbrodni przejdźby skarłała
Pierś twa i łono, w które Bóg się zniżał...
Błogosławiony owoc Twego ciała,
Ze matki nasze do ciebie przybliża,
Od swojej własnej zaśłoń je przyszłości
— O macierzynskiej Przyczyno Radości,
— Módl się za nami !

Ach, pamiętamy, żołnierze daremni,
Dzień, który prawdy wysnał nas biczem,
Do ostatecznych dopuścił tajemnic,
Do sacro sanctum, że jesteśmy niczem,
Zwarcu, gotowi — w frazesu alchemii,
Kukła tragiczna dla cudzych obliczeń,
Armia wysłana do bitwy cudownej,
A cud się nie stał... Naczyńie duchowne,
— Módl się za nami !

Głusi i ciemni, o śpiący najslodziej !
O ślepy, którym przejrzały żrenice,
By ujrzeć naród idący w pochodzie
Z granicy jednej na drugą granicę,
Strzępy ojczyzny rzucający codzień
Wilczę pogoni. Rzucono stolicę,
Rzucono kraj swój, Pytano : odważnij
Zginąć czy uciec? — Naczyńie poważne,
— Módl się za nami !

Kto nas obłąkał w taką serca siłę?
Jaki nas harfiarz zaczarował śpiewem,
Ze jak Wenedom — stos był za mogiłę
I trup się palił w błyskawic ulewę,
Ze w hymnach polską otwarliśmy żyłę,
Jakby dość było zalać krwi zalewem
Drogi i pola, by sięgnąć zwycięstwa...
— O Naczyńie dziwnego nabożeństwa,
— Módl się za nami !

Kto nas tak przeklął, że wolni w powiciu
Do pełnoletniej nie doszliśmy wiosny,
Wolność i nicość w jednym miesząc życiu?
I gdyby naród nieprzebraną gęstwą
Powstał i stanął w żelaznych pawężach,
I gdyby w on czas zabrał Bóg zwycięstwo
I z chmur niebieskich zstąpił Anioł-ścierniwnik
Dobijać rannych... — Wspomożenie wiernych,
— Módl się za nami !

Porcie, trzymany garścią kosynierów !
O Ractawice w gdyńskich żelbetonach !
O Westerplatte, stojące jak cherub
Nad niewybuchłą redutą Ordona !
O miasto w krzyże uzbrojonych skwerów,
Warszawo ! — czarne przejąca ramiona,
By się potopem Stwórca ulitował
Twojemu piekłu ! — Wieżo Dawidowa,
— Módl się za nami !

O nie, nie mówcie, że nie można więcej,
Ze się nie jadło, nie piło, nie spało,
W wyścigu stali, w gorące poświecen !
— Butów nie było i armat nie stało,
I karabinów zabrakło tysięcy,
Kul samobójczych — o jedną za mało...
O, krwi niewyschła — jedyne wrześnieowe
Błoto... Wieżo czysta z kości słoniowej,
— Módl się za nami !

Grobie bielony ! Zagłado wśród glorii !
Kto nie zwyciężył — ten będzie pamiętny
Tylko ruiną, jak „memento mori“,
Kto nie miał wodzów — ten musi mieć świętych,
Placić męczeństwem za miejsce w historii,
Kto ziemi nie wziął — temu Wniebowzięty
Niechaj odpłaca za krzywdy sieroty,
Za dom w popiołach... — Domie Szczerozłoty,
— Módl się za nami !

O bohaterzy ! Niech wam zgniją ciała
Niepogrzebane za murami miasta !
Bodajby nigdy ziemia nie wesała
Soków śmiertelnych, z których wciąż odrasta,
Za wielka śmierci i życia za mała,
Jak gladiatorzy — ginąca w oklaskach,
A każdy okłask policzek wymiera —
Ojczyzna, los nasz... — O Arko Przymierza,
— Módl się za nami !

W nas jest, czy przy nas? Prawda, czy chimera?
Ze dzisiaj naszą wyznacza nam kolej —
Zjawa, rozpięta na drzewach Grottgera,
Błysł na żelastwie i stygmat na czole,
Mózg rozpryskany po starych gewerach,
Próchno mistyczne, komunii pokoleń,
Kościół pątniczy, w którym biała manna
Spasć ma nazajutrz... O Gwiazdo Zaranna,
— Módl się za nami !

Nie to upaja, że padła najpóźniej,
Lecz to nas boli, że ją ktoś uderzył,
Nie to pomnaża, że tyle nam dłużni,
Lecz to pomniejsza, że ją żołnierz przeżył...
O zwiąż nam język, bo nie chcemy bluźnić,
Poraż nam oczy — przecież chcemy wierzyć
W świętość tej kłęski, w glinę w czterech deskach,
W wóz tryumfalny... — O Brama Niebieska,
— Módl się za nami !

Jesteśmy winni, Zgrzeszyliśmy nisko.
Jesteśmy winni, jak jest winien żebrak,
Gdy chleb pszeniczny leżał mu za blisko,
Jesteśmy winni — więc nam Bóg odebrał !
Jesteśmy winni, że jeszcze nie wszystko,
Ze trzeba umieć spod serca, spod żebra,
Wydrzeć i oddać dla Twojej obrony,
O Matko ! — Pocieszycielko strapionych,
— Módl się za nami !

Błogosławiony wyrok, co nas skazał,
Błogosławiona ręka, co nas chłosta,
Błogosławiona wojna, głód, zaraza,
I hańba niewiast — i tej hańby siostra,
Poród w kopnicach i agonia w gazach,
Błogosławiony ten, który pozostał,
I ten, któremu mogło być boleśniej
Odejść niż zostać... O Ucieczko grzesznych,
— Módl się za nami !

Błogosławiony grzechu młyński kamień !
O pochwalona pomsta, że nas snaga !
O uwielbiony Bóg, że słabych łamie !
W grzechu i nędzy — ostatnia odwaga :
Kto nas rozgryza, ten nam przyszłość kłamie,
Kto nas osądza, ten nam dopomaga
W wierze czyszcówce, w wizji Wernyhory,
Ze nie na wieczność !... Uzdrawienie chorych,
— Módl się za nami !

Drapieżność orła i przebiegłość węża,
Wyrwalność wołu i lwów płowych męstwo —
Gdybyśmy mieli w potęgę oręża
I gdyby naród nieprzebraną gęstwą
Powstał i stanął w żelaznych pawężach,
I gdyby w on czas zabrał Bóg zwycięstwo
I z chmur niebieskich zstąpił Anioł-ścierniwnik
Dobijać rannych... — Wspomożenie wiernych,
— Módl się za nami !

...O, wtedy każdy gasnącym spojrze niem
Mógłby odczytać ponad swoją głową,
Ze consumatum est... — że dopełnienie
Nadeszło dla nas z pogodą wrześnieową,
I oto ciało żegna się z imieniem,
I tylko niema-ż komu by Janową
Otoczyć pieczę zostaje poselstwa
Słowa i czynu... — Królowo Anielska,
— Módl się za nami !

(Dokończenie w następnym numerze)

KAROL ESTREICHER

O N

— Czterech proszę taty?
— Czterech. Pana Mehoffera i Opieńskiego znasz. Wyspiański już nie żyje. Był wielkim malarzem i poetą.

— To było rano?
— Nie, po południu, o trzeciej. Bawiliśmy się na plantacjach, a stamtąd zaszliśmy pod Wawel na Kanoniczną do pracowni ojca Wyspiańskiego, zobaczyć, jak rzeźbi biusty królów polskich. Ale był tak podchmielony, że uciekliśmy prędko. Zgrzani biegiem w upał, postanowiliśmy zająć do katedry.

— A czemu nie do zamku?
— Na Wawelu w zamku była wtedy austriacka kasarnia. Można było chodzić tylko do katedry.

— Przez to główne wejście, gdzie wiszą kości olbrzymów?

— Tak tedy. Jakiś czas włożyliśmy się po katedrze i byliśmy świadkami dziwnej sceny.

— Jakiej?
— Kardynał Dunajewski wypędał dewotki, bo nie lubił, jeśli w dzień powszedni kobiety siedziały za długo w kościele, a nawet drzemały. Gdy spostrzegł babiny, spędzające czas beczynnie, wówczas swoim łagodnym ale stanowczym głosem zwracał im uwagę: „Do roboty, kobiety, do roboty. Nie trzeba się narzucać Panu Bogu”. I właśnie tego dnia paniusi, która rzuciła się, aby go całować po rękach, powiedział: „Nie siedzieć w kościele za długo, w domu też można się pomodlić przy pracy”. Był kardynał znany z tego, że nie znoślił pobożności.

— A co było dalej?

— Wyszliśmy na wieżę Zygmuntofską. Wyspiański wpadł na pomysł, który nam spodobał się bardzo. „Suchajcie, chłopcy”, powiedział, „to przywilej królewski dzwonić w Zygmunta. Musimy jego głos usłyszeć. Zadzwońmy sami dla siebie”.

— No i co? — pytałam z zaciekawieniem.

— Uwiesiliśmy się po dwóch i nie bez trudu rozkołysaliśmy dzwon. Kiedy pierwszy raz uderzył puściłem sznur, ale Wyspiański krzyknął: „Ciągnij, ciągnij” i znowu pociągnął i znowu dzwon uderzył raz, drugi, trzeci...

— No i co, co?

— No i nie. Tylko w biały dzień, o godzinie trzeciej po południu zdumione miasto usłyszało nagle, jak bił nierówno i nierytmicznie. Nie mieliśmy dość siły, aby go rozkołysać, jak należy. To wielki ciężar. Nie mieliśmy także czasu, bo nagle wpadli na wieżę świątyni i...

— Co to są świątynie?

— Tak w katedrze nazywają kościelnych. Pochodzą oni z niedalekiej wsi, która ma od dwunastego wieku przywilej, że jej mieszkańcy obsługują katedrę. Wiesz dlatego nazywa się Świątyni.

— I co oni świątynie?

— Krzyczeli na nas, a głównie na Wyspiańskiego, bo pokazało się, że on już raz próbował dzwonić w Zygmunta, ale był wtedy sam i nie mógł dzwonu poruszyć. Spędzili nas na dół, do zakrystii.

— Tatuś się bał?

— Pewnie że się bałem, bo chcieli nam dać w skórę, ale przyszła niespodziewana pomoc.

— Jakto?

— Kardynał, usłyszawszy dzwon, czym prędzej wrócił do katedry i spotkał nas, prowadzonych przez świątyników. Wyjaśnili mu psotę. Skarżyli się na młodego Wyspiańskiego, który często do katedry przychodził z ojcem, towarzysząc mu przy zdejmowaniu odlewów z królewskich posągów, i figle wyprawiał. Biskup zapytał się: „A czemuż to, kochanku, namówiłeś kolegów, żeby dzwonić?” — „Bo chciałem, żeby on zadzwonił dla nas”. Roześmiał się dobry biskup i powiedział: „A czy wiesz, że na to trzeba być znakomitym mężem?” Potem kazał nam iść do domu.

— To wszystko?

— Cóż chcesz, żeby więcej było? Chyba to, że podczas pogrzebu Wyspiańskiego dzwonił Zygmunta jemu.

Wyszliśmy z ojcem z katedry po nabożeństwie, a ja nie mogłem zapomnieć jego opowiadania. Kilkakrotnie powtarzał mi je później i pamiętam je nie dlatego, że jako bohater występował w nim Stanisław Wyspiański, którego obrazy w mieszkaniu rodziców straszły mnie swoją niezwykłością, ani dlatego, że znałem dobrze pana Mehoffera i Opieńskiego, lecz ponieważ rozhuśtanie znanego dzwonu musiało być naprawdę emocjonujące.

— A ja mógłbym zadzwonić?

— Spróbuj, ale ci nie radzę. Zresztą to nie jest tak łatwe.

— Czy przyjemnie jest huśtać się na sznurze od dzwonu?

— Już po tylu latach nie pamiętam.

— To było dawno?

— Dla mnie niedawno. W roku 1882, równo trzydzieści lat temu.

— A przedtem tata mówił, że to tyle lat, a teraz, że to było niedawno? Więc jak? Nie rozumiem.

— I tak i tak. Zrozumiesz kiedyś, że to możliwe.

Ilekoć słyszałem Zygmunta, przypomniała mi się ta historia, nieznana chyba biografom wielkiego poety. Krzysia i Ewa słuchały jej chętnie także, ale one wołały inne opowiadania o Wyspiańskim, który razem ze Stanisławem Pietraszkiewiczem przyniósł w koszy-

ku na lekcję profesora Rypla małe kocięta i po jednym wypuszczał je spod ławki. Bawił nas ojciec tą historią, jak również opowiadaniem o wycieczce na odpust do Mogiły, gdzie Wyspiański zarobił na portretowaniu pielgrzymów, lub opowiadaniem o tajemnicy wuja Wyspiańskiego, który zabił austriackiego szpiega na plantach. Pokazywał nam miejsce, gdzie legł zaszyty w roku 1848 zdradca, i znak i datę, wyrąbaną z tego powodu na drzewie.

Ale dzwon pociągał mnie zawsze. Wcześniej zauważyłem, że spokojny rok krakowski dzielił dni, kiedy Zygmunta dzwonił, i że w życiu miasta odgrywał on wielką rolę.

Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na Boże Ciało dzwonił z zasady. Wtedy szły pod Wawel tłumy w świątecznym weselu i słyszały jego głos, napieniający ulice miasta. Już w przeddzień mawiano w Krakowie że „Zygmunta będzie dzwonić” i gdy spodziewano się go usłyszeć, otwierano okna, by jego dźwięk wpłynął do mieszkań, jakby przynosząc błogosławieństwo życia.

Rzadko, bardzo rzadko dzwonił niespodzianie i wtedy budził niepokój i zaciekawienie. Brzmiał wtedy w całym mieście, wstrząsał nim, poruszał umysły mieszkańców. Dźwiękiem głuszył inne dzwony krakowskie i słyszały go dalekie przedmieścia. Ludzie stawali na ulicach, kupcy wychodzili ze sklepów, robotnicy przerywali pracę, bo on wywiał, wiał, obwieszczał. Mówiono krótko: „Zygmunta dzwoni” lub pytało się wzajemnie: „Co to, Zygmunta?” — i nadśłuchiowano jego dźwięków, płynących majestatycznie nad dachami domów, nad kopułami kościołów, nad drzewami ogrodów Krakowa.

Potem ktoś objaśniał: tak, to on, on na pewno. Ktoś przypominał sobie: to dzisiaj ingros biskupa, lub pogrzeb narodowy, lub koronacja papieża i uspokojeni mieszkańcy wracali do swoich zajęć.

Wiem wcześniej dowiedziałem się o nim i zrozumiałem jego rolę.

— Czy mnie uda się kiedy w niego zadzwonić?

— Ale dlaczego chcesz dzwonić w Zygmunta? — zapytała Krzysia, nie podziwiająca tej ciekawości.

— No bo to musi być zabawne. Tatuś mówił...

— Ee... nie tatusiaj się tyle. Tobie co opowiedzieć, to zaraz jak mała chcesz naśladować. Najpierw naucz się czytać, a nie stękać. Jako to litera? Przeczytaj jeszcze raz.

— De — odpowiedziałem znudzony.

— A ta?

— Zet.

— Następna?

— U.

— Nie u, tylko wu. Gdybyś miał trochę inteligencji, tobyś poznał. Jeszcze raz od początku.

— „D, Z, W, O, N, E, K wzywa nas do szkoły” — wystękałem wreszcie.

— A mówiłam ci, nie wystawiaj języka jak ciele. Nigdy nie nauczysz się czytać i nie pójdziesz do gimnazjum. A jeśli cię tam z łaski przyjmą, to będziesz złym uczniem.

Spełnił się niestety pesymizm mojej siostry. Do gimnazjum się dostałem, lecz nie świeciłem tam dobrymi świadectwami. Wcześniej poznałem siostrę chodzenia na wagary i spędzania godzin w beczynnej włóczędce po mieście.

Pamiętam, jednego dnia lał deszcz. Kiedy rano oprzytomiałem sobie, że znowu siedzieć mi trzeba pięć godzin w zamkniętej klasie, że nadto tego dnia jest greka, matematyka, łacina, fizyka i zadanie niemieckie, a że nie ma ani gimnastyki, ani religii, ani rysunków, niechęć do szkoły wezbrała we mnie nieodparcie.

Zazębienie? Nie kaszle i nos mam suchy. Ból gardła? Niestety, mama znała się na tym doskonale i nie pomogła żadne wybiegi. Po prostu nie zostało mi nic innego, jak pójść za szkołę, w tym roku dopiero po raz pierwszy.

Książki zasunąłem głęboko pod szafę i pewno ich nikt nie znajdzie. Poświadczenie mamy za jeden dzień nieobecności mam jeszcze z przeszłego roku, a jest szczęśliwie bez daty. Znalazłem je zapomniane przez profesora w dzienniku klasowym. Było mnie nikt nie spotkał na ulicy.

Siostry wyszły grzecznie pod starym parasolem ojca, czego się wstydzili, ale zależało im, aby uchronić nowe kokardy we włosach. Przemknęłam się boczną ulicą na aleję Trzech Wieszców koło Krakowskiego Parku.

Gdzie iść jednak? Wiatr z deszczem zaciął, leje mi się za kołnierz, w bucikach chłupie woda. Niepodobna iść do Parku czy na Błonia. Może źle, że poszedłem za szkołę?

Na dworcu kolejowym brudno, śmierdząco i nudno. Dobrze że wziąłem drugie śniadanie, bo przynajmniej nie będę głodny. Gdzie iść jednak? Do kościoła?

Przypomniał mi się Wawel. Wielki pusty gmach, gdzie pracują nieliczni robotnicy, odnawiając sale, sienie, piwnice, gdzie swobodnie spędzić można pięć godzin, wciągając się bezmyślnie lub bawiąc z rówieśnikami.

Dla tych wszystkich, którzy wychowali się w Krakowie w latach odnawiania zamku, a którzy hołdowali brzydkiemu zwyczajowi chodzenia za szkołę, wzgórze Wawelu było miejscem, gdzie spędzali skradzione nauce chwile.

Wawel! Wawel! Dla nas, chłopców krakowskich, wzgórze, zamek, katedra i wieże nie były nigdy zabytkowe i historyczne w sensie nietykalnych relikwii. To krewni z innych miast, obcy i przyjezdni szli odwiedzać tam pamiątki i pomniki, a myśmy na wzgórzu wychowali się, bawili i grzeszyli także. Łatwo było bowiem na Wawelu zarówno grzech popełnić, jak i rozgrzeszenie dostać.

Góra wspomnień i góra życia polskiego! Gmachy twoje i pokoje, kościoły i wieże co roku odwiedzali Polacy na wiosnę z namaszczeniem i powagą, której Krakowianie bynajmniej nie odczuwali. Na Wawelu fotografowali się pątnicy i turyści, prezydenci, ministrowie i cudzoziemcy z poważnymi minami, jeśli składali wieniec, z wesołymi, jeśli odbywali raut. Potem szli zwiedzać katedrę, zamek, Smoczą Jamę i snuli się na umęczonych nogach po przez nawy, sale, kaplice, radzi, kiedy skończyła się ta oprowadzka pełna wieków, trumien i pomników. Nie rozumieli wiele z tego, co widzieli, ale rozsyłali pocztówki z pozdrowieniami, a kiedy wrócili w domowe kąty, wstydzili się przyznać, że z Wawelu pamiętają jedynie równomierny głos przewodnika, wodzącego ludzką trzodę. I górę, która żyła, najpiękniejszą, najżywszą górę świata, wspominali z podziwem kąśliwym, bo obca dla nich była i nieprzystępna.

A tymczasem Wawel miał życie własne, pełne, godne i ciekawe, do którego jednak nie dopuszczał dygnitarzy i delegacji z wieńcami. Miał swoje romanse, dramaty, procesy, spory i tajemnice, miał swoje interesa i interesiki, ambicje własne i własnych dwóch panów. Jednym z nich był arcybiskup Sapieha, pan godny i wielmożny, drugim architekt Szyszkowski-Bohusz, rzadca mądry i niepodległy. Wokół nich, wokół kapituły i zarządu, wokół księży i świątników, wokół artystów, historyków i murarzy kręciła się ostatnia historia wzgórze, którą nazwałbym intymną, a która czeka na swego dziejopisę. To byli reżyserzy przedstawień na wielką skalę, którzy posługiwali się dygnitarzami i publicznością z całego kraju, stwarzając przy tym anekdoty prawdziwie królewskie.

Gdy skończyła się pasterka i rezurekcja, lub części jeszcze, gdy odjechały lśniąca limuzyny, gdy za nimi dyskretnie wymknęło się małe auto, wiozące nieodłącznych opiekunów naszych dygnitarzy, wracając życie na Wawel i śmiało się z próżności ludzkiej, a często i z żupoty. Odbijała się ona jak w krzywym zwierciadle w lśniących marmurach pałacu i w bronzach katedry.

Następnego dnia po uroczystościach rozpoczynających się zazwyczaj przeproszenia protokolarne. Pan wojewoda uczuł się obrażony, że jego fotel podczas nabożeństwa był cofnięty o pół kroku, pana ministra oświaty nie rozpoznał woźny i wziął go za brata, podczas przemówienia dyrektora departamentu budowlanego o konieczności intensywniejszej pracy państwowotwórczej robotnicy tłukli się na dachu i wreszcie przykra historia, która szczęśliwie nie miała konsekwencji. Oto w nocy pod potłokiem głowy państwa załamało się spróchniałe łożo empirowe i stłukł się przy tym bezcenny wazon. Niesłusznie centralne władze podejrzewały zamach. Specjalna komisja śledcza, delegowana ze stolicy, orzekła że po prostu łożo nie wytrzymało dostojnego ciężaru.

Spotykałeś na wzgórzu ludzi wszystkich stanów i zawodów. Wyczołkowski szybkimi ruchami węgla po raz setny rzucał na papier widoki katedry, Leon Chwistek, otoczony gromadą wielbicieli, wykładał jak zgubną, jak niebezpieczną jest nawet filozofia Witkacego, Adam Bochniak wiodł gromadkę uczniów na wykład o stylu romańskim, Tadeusz Seweryn dyskutował z Sewerynem Udzielą, a równocześnie Stanisław Świerż, rozłożywszy do światła dziennego namiot turecki z XVIII wieku, zdobyty oczywiście pod Wiedniem, targował jego cenę z księciem Radziwiłłem. Kasjerka, panna Wandzia, dziewczę łoża w nieokreślonym wieku, miała zapakane oczy, bo porzucił ją piąty z kolei narzeczony, wyłudziwszy od niej pensję. Więc postanowiła dać jeszcze jedno ogłoszenie matrymonialne do „Kuriera”, tym razem naprawdę ostatnie, i ślubowała świeczkę zapalić u ołtarza św. Tereski.

Wieczorem wśród traw i kasztanów za murami inne rozgrywały się widowiska, które dojrzeć było trudno, bo cienie je otulały i tylko księżyc, widząc je zza chmurki, śmiał się bezwstydnie w noc majową.

Wzruszające wypadki zdarzały się na Wawelu. Na przykład historia małej Praksedy, która w okresie masowych wycieczek odwiedziła z gromadą dzieci katedrę i zasnęła przytulona do sarkofagu króla chłopków. Gdy obudziła się rano, nie wiedziała biedna dziewczynka ukraińska, skąd jest i jak się nazywa. Nikt się po nią nie zgłosił i tak została sierotą. A dzieje starego świątynika, który zapalał miłością do marmurowego posągu królowej Jadwigi i wzdychał doń i stękał? A osobliwą chwilę w 1920 roku, gdy zamurowano w piwnicach Wawelu ubogi skarbiec Banku Polskiego?

Miał Wawel poetę i barda swoich wypadków, starego cieśle Wojciecha Cwika, krakowskiej dynastii Cwików głowę i patrona. Zważając go Wątróbką dla odróżnienia od Wojtka Cwika Rudego, ojca Stefki Kobiaszówny. Łaził Wątróbka po dachach Wawelu, znał wszystkie ich wiązania, leciał z nich sześć ra-

zy a nie spadł nigdy. Przebiegano go w mundur, gdy goście Wawel najeżdżali, i obowiązkiem jego było stać przy bramie, po czym zalewał pałę, bo napiwki rozumiał doskonale. Śpiewał wtedy piosenki własnego układu o wypadkach wawelskich, z których najniewinniejszą powtórzę:

— Generał się schlał,
A potem rygał,
I dostojny gość
Wawela miał dość.

— Stary, stul głowę — wrzeszczała na niego żona — chcesz żeby cię przegнали?

Wówczas szedł gdzieś na strych, a stamtąd na dach pobijał krokwie i ryczał sobie a niebu:

— Naszli na katedrze dziewczę
Kanonicy rano,
Chodź, to z tobą się popieszczę,
Jeśliś nie zaspąną.

Albo przygodę inżyniera Virobila, którego pod Wawelem okradziono, gdy flirtował z robotnicą murarską, takim opiewał rapsodem:

— Na Wawelu pod kasztanem
Baranili się nad ranem
I leżeli w trawie równo,
Pan inżynier z Jedlikówną.
Chodź że Pan już — mówi ona —
Bom jest rosą pomoczona.
Jakże pójde, kiedy diabli
Garderobę mi ukradli!

Tak to dla krakowian Wawel był miejscem nie pomp i uroczystości, ale pogodnego i spokojnego życia. Tu zawsze spacer był miły, spotkanie przyjemne, tu czas upływał szybko, wzrok się upajał, umysł odpoczywał. Tu biedny cieszył się bogactwem, bogaty uczył się skromności.

Ma także Wawel w kronikach lat nieodległych zapisane wypadki ponure i nieprzyjemne. Intryg kilka i krzywd, na nim dokonanych, morderstwo popełnione u jego stóp, samobójstwa bez celu. Ma dziwny spór o prochy królewskie, spór, za którym stał potomek możnego rodu Rzeczypospolitej, który ściępieć nie mógł myśli, że dawny stolnik litewski spocznie w katedrze krakowskiej.

Góra święta! Góra mściwa! Kto ciebie zapragnął, znieważył, sprofanował, zawsze był ukarany. Czy wylizac tutaj różne przekleństwa, jakie opłoty się wokół dziejów twoich lat tysiąca? Że żaden biskup krakowski imienia świętego patrona Wawelu nosić nie może, jak również żaden król, co to imię nosi, na tronie polskim się nie utrzyma. Wiedzieli o tym Piastowie i pamiętały jeszcze Jagiellony.

Czy przypomnieć, że tego, kto za życia spocząć zapragnie w chłodnych podziemiach katedry, los potem ściga zawistny? Wyznaczył sobie miejsce i Leszczyński i Poniatowski i Piłsudski. Dwaj pierwsi nie spoczęli na Wawelu, trzeciemu wróg wartę honorową u grobu postawił na śmiech, na urągówkę narodowi.

Czy wspomnieć wreszcie, że świętokradca i bluźniercza ręka czy myśl, które przeciw tobie zuchwalec podniesie, karane bywają straszliwie od czasu tego złodzieja, co skończył u stóp krucyfiksu Jadwigi. Kiedyś dominikanin ks. Paweł dokonał losu, gdy każąc, podniósł naukę przeciw Niepokalanemu Poczęciu i Świętemu Pańskim, i obraził Patrona, którego szczyt katedra przechwaja. Padł martwy na kazielnicy wśród mnogiego ludu, jako widomy znak wawelskiej siły. Kolejną Opatrzności wynagłym został sromotnie z Wawelu i Wacław czeski i Karol Gustaw, jak mu ks. Starowolski wyprorokował. Kiedy szwedzki jenerał Stenbock sale zamku popalił, głowa ludzka z zawiązanymi ustami u stropu sali sejmowej zawieszona, przepowiedziała mu, że zginię za życia, a gdy Prusacy zrabowali skarbiec w 1794 roku, wieść gminna niesła, że ten król pruski który nogę na Wawelu postawi, spadnie z tronu, i sprawdziło się podanie na Wilhelmie. Więc wierzę, że dosięgnie zemsta wzgórze i tych, którzy dzisiaj tam się panoszą, a dosięgnie dziksza i straszliwsza niż kiedykolwiek!

W ów dzień deszczowy i mglisty, gdy skradam się ulicami miasta, sale zamku puste i nie urządzone jeszcze, pociągały mnie swoim bezpieczeństwem.

W mgłach jesiennych wydawał się majestatyczniejszy i potężniejszy niż zazwyczaj. Na wieży Zegarowej młoty wybiły godzinę ósmą. Wieżę Zygmuntofską, Srebrnych Dzwonów, basztę Senatorską, Sandomierską, Złodziejską otulała mgła najdelikatniejszym welonem wilgoci, szmaragdowe zaciek na murach zostawiając. Dźwigała się przede mną w górę katedra, zarysowały mury pałacu, brama wjazdowa przywitała łacińską inskrypcją i rozweseliły lekkie krużganki podwórca.

Godziny spędzać tu można było. Nie wiem, kiedy nauczylem się historii Wawelu, której ślady odkrywali robotnicy. Zapewne podczas zabaw i biegan po jego salach. Gdyśmy tu bawili się w zbojów i żandarmów, w wojsko i w pliszki. Z tych czasów pamiętam, jak w sali jadalnej po oderwaniu posadzki

znaleziono kościotrupy, skute łańcuchami, świadczące że za Zygmunta jacyś więźniowie skonali tu śmiercią głodową. W lochu pod wieżą Duńską znajdowało się więzienie, o czym świadczyły stare napisy ryte na tynku przez tych, co siedzieli tam za heretyckie nowinki. Krętymi schodami koło Kurzej Stopy wymknął się tam Walezy, dopadł koni i przez Zator ku Śląskowi umknął. Przy tym kominię mistrz Twardowski wywołał ducha Barbary, w tej sali Jadwiga umawiała się z Wilhelmem, a tu królowie polscy chodzili piechotą... „Nihil sine causa“ głosił napis.

Jeszcze ciekawsze były prace na Wawelu. Właśnie tego dnia Szyszko-Bohusz stał u drzwi kuchen królewskich i dowodził wykopaliskami. Ten małomówny a ciekawy Litwin, który pokochał Wawel całą duszą, który tu każdy kamień poznał i z każdego kamienia czytał jak z księgi przeszłości naszą, odkrywając mury najstarszej świątyni polskiej, pilnował, gdy kilku robotników przesiewało pokłady ziemi, przez wieki naniesione na posadzkę kościoła stopami wiernych. Wyławiał z nich denary, paciorki, skorupy naczyń glinianych, kości, i porządkował wedle czasu i rodzaju.

Wokół pracujących zebrała się gromada gapiów takich jak ja, w mundurach szkolnych, którzy woleli wódcę i lenistwo niż naukę i pracę. Tłoczyliśmy się, popychali nawzajem i przeskakwali pracującym. Wreszcie znicierniowy Bohusz mruknął do starszego majstra:

— A przegnąć mi tych smarkaczy!

Pierchnęliśmy jak ptaki przestraszone wystrzałem, i uciekliśmy przez bramę dziedzińca do dawnych ogrodów królewskich. Stary murarz wrzeszczał za nami nieparlamentarnym językiem, najpiękniejsze, najbogatsze przekleństwa polskie.

Antek Wolikowski miał piżkę. Więc mimo deszczowej pogody zaczęliśmy mecz rozgrywać na placu pod basztą Sandomierską, w miejscu gdzie potoczyła się kiedyś głowa Samuela Zborowskiego, lecz zapewniam, że ten fakt historyczny w niczym nie ujmował naszej zabawy wesela i przyjemności. Kopaliśmy szmactankę z gałganów ukręconą i owiniętą w pończochę, kopaliśmy do siódmego potu i do chwili, kiedy podeszwy zaczęły odstawiać u butów. Było nas pięciu czy sześciu zabalowników, dusz straconych i grzesznych, leniwych patentowanych, z których napewno nie dobrego nie wyróżnie, jak grzmiał ksiądz katecheta na kazaniu niedzielnym. Niekiedy palili papierosy z liści, mówili brzydkie wyrazy i w ogóle zachowywali się jak strażnicy pełni cynizmu. Wielki drab Staniejko, który u św. Jacka trzeci rok siedział w czwartej klasie, opuścił nas pierwszy, ponieważ zobaczył dwie panny, do których postanowił się podwalić. Antek poszedł z nim i w ten sposób mecz został przerwany. Połowa czasu szkolnego upłynęła. Na wieży była godzina jedenasta.

Czy wiedziałem, że zbliża się najosobliwsza godzina mego dzieciństwa?

Powlokłem się dalej, głodny niestety, bo mi któryś z chłopców buchnął śniadanie z płaszcza, gdy ten leżał złożony zamiast szubramki.

Znowu zaczęło padać i postanowiłem wstąpić do katedry, by przeziść tam godzinę i wrócić do domu. Przed grobem świętego Stanisława przeżegnałem się pobożnie, prosząc, aby nic złego nie wyniknęło z faktu, że jestem za szkołą. Bo gryzł mnie sumienie, wówczas jeszcze nie stępione na grzech.

Pusto było i cicho w świątyni. Mrok padał tutaj jesienny i gobeliny, wiszące pod sklepieniem, wydały mi się bledsze, a pomniki bardziej tajemnicze i królewskie. Przyjrzałem się kracie kaplicy Wazów, na której ciężkie sploty ornamentów wiją się wśród szkieletoów i symbolów śmierci, zająłem do jasnej kaplicy Zygmuntońskiej, spróbowałem wyjść na chór muzyczny, ale był zamknięty. W ołtarzu cudownego Pana Jezusa dojrzałem strzemię wielkiego wezyra, zawieszane przez Sobieskiego, i buńczuki tureckie, i wreszcie znalazłem się pod drzwiami zakrystii.

Tu kanonik Slepicki rozmawiał żywo ze starym świątnikiem Świdrem.

— Ja, księżę kanoniku, sam z Walasem rady nie dam, a ludzi do wojska pobrali. I jeszcze na rezurekcyjny ton?

— Księżę biskup nakazał.

— Ale księżę biskup wi, że nawet do posługi w niedzielę ludzi nie najdzie. Może na popołudnie zwolam kogo.

— Nie, trzeba zaraz, teraz, rano.

— No to chyba że Walas jakisich chłopaków przyprowadzi. Trza zapłacić.

— Niech będzie, ale zaraz trzeba.

Już miałem odejść, kiedy nagle stary kościelnik położył mi rękę na ramieniu i zapytał:

— Chcesz se zarobić szóstkę?

— A co mam robić?

— Jużci że nie w nosie dłuhać! Chodź, pomożesz mi.

W tej chwili przyszedł Walas z gromadą chłopców, naprędce zwołanych. Byli między nimi uczniowie jak ja i kilku pomocników murarskich, wypożyczonych z Zarządu odnowienia zamku.

Weszliśmy do zakrystii, a stamtąd w boczne drzwi, na wieżę Zygmuntońską prowadzącą. Teraz wiedziałem, że idziemy dzwonić, ale jeszcze nie byłem pewny, czy w mniejsze dzwony, czy w samego Zygmunta.

Przez kręcone kamienne schody wyszliśmy na pierwsze piętro wieży, gdzie zaczynała się jej cielska konstrukcja. Wielkie z puszki niepołomskiej dęby, kiedyś wycięte na chwałę króla, splatały się tutaj w gąszcz

belek, bierzm, krokwi, przenikała się wzajemnie, wspierając wieżę. Wiał silny wicher i lekko ruszały się w spojeniach. Ich moc była większa niż wszystkie burze, które przeciągały nad Wawelem. Chodziły miarowo pod wiatr, ale nie puściły ich klipy i zaciosy. Na pierwszym, drugim i trzecim piętrze wisiały mniejsze dzwony, dary biskupów i możnych panów. Niekóre, pęknięte, miały zawiązane serca i były martwe i nieme.

Belki rzędziły, schody stawały się coraz trudniejsze, aż nagle wyprowadziły do izby jasnej i obszernej, której środek był wolny a boki zajęte przez grube słupy dębowe wspierające konstrukcję.

Na środku wisiał Zygmun. Płaszcz dzwonu zielenił się patyną spizną, a wewnątrz kielicha ciężkie żelazo wisiało na białej skórze byczej. Za dwa skrzyżowane ucha czepiono dzwon do osi, której czopy padały na żelazne żołyśka, tam gdzie je majster norymberski wkuł przed wiekami. A na dzwonie wielomowny napis:

„Bogu Najlepszemu, Największemu i Dziewicy Bogarodzicy, Świętym Patronom swoim, znakomity Zygmun, król Polski, ten dzwon umysłu godny i czynów swoich sporządzić kazał“.

Do osi dzwonu przytwierdzona jest ramuśta. Z niej zwisają sznury. Za sznury ciągną dzwonnicy, powoli rozkołysując dzwon.

— Czepcie się sznurów chłopcy i ciągnie w dół. Ja sercu bieg nadam — komenderował Świder.

Z powagą ujął serce, popróbował, jak

idzie, a potem puścił lekko w ruch. My za węży uchwyciwszy sznury, ciągnęliśmy z całych sił. Oś ruszyła ze zgrzytem.

— Ho ha, ho ha! — komenderował do taktu Świder.

Dzwon stracił równowagę, pochylił się i wrócił na miejsce.

— Ho ha!

Znowu pociągnęliśmy, a on jakby bronił się przed zachwianiem, przed skokiem. Lecz tym razem nie stanął w martwym punkcie osi, ale minął go i w przeciwną poszedł stronę. Serce zbliżyło się do kielicha.

Znowu wyszok i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, aż do bólu rąk, tartych przez sznury, i wreszcie poculiśmy, że zaczyna chodzić.

Uderzył!

Łomot powstał na wieży i zatkał dech w piersiach. Kto pierwszy raz z bliska usłyszy jego głos, doznaje oszołomienia. Przywarłem w lęku przy ziemi, że może zwali się wieża od tego grzmotu, ale czasu nie miałem się zastanowić, bo oto dzwon siedział na moją stronę i poderwał mnie sznury wysoko, aż pod okno, przez które zobaczyłem Kraków.

I znowu grzmot uderzył, a huśtawa opuściła się w dół i łoskot wzrósł.

Potem zaczął lżej chodzić, a głos stał się potężniejszy. Połączył uderzenia serca jeden dwurymiczny dźwięk, srebrem i spiżem bijący, wstrząsający wieżę, jej wianiem i nami.

Jak pierś, co oddycha, wznosił się i opadał, a jego żelazne serce biło coraz szybciej. Belki dygotały od tego głosu, spojenia trzeszczały, ształy w oknach drżały leciutko, jakby

Szkolnictwo Wielkiej Brytanii

Zygmun Kukulski. — Tak zwane „Public Schools“ w Wielkiej Brytanii. Londyn, 1942, Nauka i Wychowanie, Wydawnictwo Urzędu Oświaty i Spraw Szkolnych, Zeszyt I, str. 63.

Anglia jest bodaj jedynym krajem w Europie, który dotychczas nie dorobił się jednolitego systemu szkolnego, nie zapewnił każdemu obywatelowi możliwości kształcenia się w wybranym kierunku, a nawet nie stworzył nowoczesnej pojętej sieci szkolnej. Mógłby tu ktoś zaraz na wstępie zapytać się, jak ten stan można pogodzić z duchem demokracji, przenikającym niewątpliwie całość życia angielskiego. Odpowiedź na to pytanie jest łatwa i trudna zarazem. Można bowiem postawić sprawę w ten sposób, że zasady demokracji są pojmowane w Anglii tak głęboko, iż po prostu nie chce nawet w dziedzinie wychowania kępować w najmniejszym stopniu wolności jednostki, pozostawiając całkowicie do jej uznania wybór zakresu, poziomu i metod wychowawczych. Wobec faktu jednak, że przeszło połowa angielskich szkół — zwłaszcza średnich — jest prywatna i opłaty za kształcenie dzieci są dosyć wysokie, odpowiedź taka nie wyczerpuje kwestii. Decydującą rolę w zagadnieniu szkolnym odgrywa raczej powszechne niemal do ostatnich czasów przekonanie, że troska o wychowanie młodzieży powinna spoczywać całkowicie na barkach rodziców, a nie państwa, które jest obowiązane zapewnić każdemu obywatelowi co najwyżej wykształcenie w zakresie elementarnym.

Dla pełności obrazu dodać należy, że przedstawiony tu system szkolny jest już całkowicie u schyłku swego istnienia. Mimo wojny, a raczej dzięki niej, odzyskując się w prasie, na zjazdach nauczycielskich nawet w Izbie Gmin, coraz silniejsze głosy, domagające się gruntownych reform edukacji w kierunku przede wszystkim jej udostępnienia jak najszerszym masom narodu. Ostatnio nawet zaczęły się pojawiać już zupełnie konkretne projekty ustawodawcze. Jeżeli doczekają się one realizacji, zajmie Anglia i w dziedzinie wychowania przodujące stanowisko. Obowiązek szkolny od lat 5—18, nastawienie praktyczne szczególnie wyższych klas szkolnictwa elementarnego, umożliwienie młodzieży najodowniejszej — bez względu na jej pochodzenie i majątek — kształcenia się w szkołach średnich i wyższych, olbrzymia i wszechstronna rozbudowa szkolnictwa zawodowego — oto najważniejsze, a w dodatku jak na Anglię wprost rewolucyjne przesłanki przygotowującego się ustawodawstwa szkolnego.

Zanim wejdzie ono w życie, warto zapoznać się i ze stanem obecnym, zwłaszcza że mimo zastrzeżeń o charakterze społecznym posiada on wiele zdrowych myśli i zasad, szczególnie dla nas instruktywnych. Dobrze się stało, że Zygmun Kukulski poświęcił szkolnictwu angielskiemu osobną pracę.

Nazwa „Public Schools“ nie obejmuje tylko, jakby się to mogło wydawać, publicznych szkół w kontynentalnym znaczeniu. Wielką ich część bowiem stanowią szkoły średnie, o charakterze całkowicie prywatnym, nie podlegające nawet w najmniejszym stopniu kontroli ze strony urzędowego Board of Education — coś niby naszego Ministerstwa W. R. i O. P. Mimo to te właśnie prywatne szkoły średnie z własnymi internatami, dosłownie tylko dla wybranej przez los młodzieży, nadają ton całemu wychowaniu. Sigając początkami swymi głębokiego średniowiecza (najstarsze z nich powstały w VII w.) chlubią się wielką tradycją, która w umysłowości angielskiej odgrywa tak poważną rolę, i pociągają specyficznym systemem wychowawczym. Program ich nie jest ani specjalnie rozbudowany, ani też nie różni się zbytnio np. od polskiego. Charakterystyczną jego cechą jest dosyć szczęśliwe pogo-

czenie kierunku matematyczno-przyrodniczego z humanistycznym (łacina i greka, dwa języki nowożytne) oraz z przedmiotami praktycznymi, potrzebnymi w przyszłym życiu gentlemana, jak malarstwo, muzyka, śpiew, proste prace ręczne, a ostatnio i maszynowe. Chociaż rodowód tych przedmiotów użytkowych wywodzi się XVIII w., nie przestały one w Anglii cieszyć się wzięciem pedagogicznym.

Anglik oddający syna do sześciolletniej szkoły średniej nie troszczy się specjalnie ani o jej program, ani o poziom. Chodzi mu bowiem przede wszystkim o wychowanie. „Mam powiedzieć Tomkowi (synowi) — piszą w 1887 r. Tomasz Hughes — by dbał o naukę i rzec mu, że idzie do szkoły, ażeby został dobrym uczniem? Owszem, ale nie posyła się go do szkoły poto — w żadnym wypadku w tym celu głównie. Nie zależy mi bynajmniej na partykułach greckich, nie mniej i jego matce. Jeżeli tylko wychowa się na dzielnego, zaradnego, prawdomównego Anglika, na człowieka uczciwego i chrześcijanina — to wszystko czego pragnę“.

Wymaganie od szkoły przede wszystkim wychowania charakteru, a potem dopiero przyswojenia takich czy innych wiadomości jest najważniejszą cechą i zaletą szkoły angielskiej, różniące się pod tym względem od szkół innych państw europejskich, a także i polskich.

Niestety autor nie przedstawia jak się odbywa to ciekawe — zwłaszcza dla nas — misterium tworzenia w szkołach angielskich dzielnych, zaradnych, prawdomównych Anglików. Nie omówił metod, ani środków wychowawczych, zbyt mało poświęcił uwagi codziennemu życiu szkolnemu i internatowemu, które powoli, ale systematycznie tworzy charakter przyszłego meżow stanu i przywódców narodu angielskiego. Zbyt szczegółowo natomiast omawia dzieje każdej szkoły osobno. Takie drobnotkowe wyliczanie wszystkich najważniejszych faktów z przeszłości każdej szkoły, nie wiele daje korzyści specjaliste, a nuży wprost ogół czytelników, zwłaszcza, że poza czysto zewnętrznymi zdarzeniami nie omawia nawet takich zagadnień jak np. wpływ teorii pedagogicznej choćby Locka na praktykę szkolną. Za mało również wiadomości znajdujemy o roli organizacji i metodach Board of Education — ministerstwa wychowania, istniejącego dopiero od 1899 r. (a więc przeszło o 120 lat później niż nasza Komisja Edukacji Narodowej).

Utrzymane niemal całkowicie z funduszy publicznych angielskie szkoły powszechne kształcą młodzież od 5 do 15 roku życia, wliczając w to obowiązkowe przedszkola. W przedmiotach ogólnokształcących nie różnią się te szkoły niczym od innych krajów. Praktyczny zmysł angielski wycisnął i na nich swoliste piętno. Oto każda szkoła powszechna obok zajęć praktycznych uczy ogrodnictwa, względnie elementów innej pracy zawodowej, a dziewczęta gospodarstwa domowego, co przy pewnej swobodzie dostosowywania przez szkołę programu do potrzeb regionalnych, daje możliwość przygotowania młodzieży do przyszłych zawodów.

W ostatniej części książki omawia Kukulski głosy krytyczne i coraz głośniejsze żądania reform. Chociaż materiał ten nie jest niewątpliwie kompletny, daje jednak obraz głębokich przemian ideowych nurtujących w społeczeństwie angielskim, które problemy lepszego, sprawliwszego świata powojennego chce rozwiązywać już obecnie na własnym terenie; jak wynika z dochodzących tu fragmentarycznie wiadomości zagadnienie wychowania rozwiąże doskonale i życiowo, dając przykład innym krajom europejskim. —

Lukasz Kurdybacha.

prąd elektryczny przez nie przebiegał, a nas, dzwonników improwizowanych, dzwon unosił w górę i rzucał na dół.

Od czasu do czasu głowę pochyliwszy, podbiegał świątnik pod serce i regulował jego uderzenie. Przyspieszał mu rytmu, coś oznajmiał miastu. Wtedy myśmy silniej pociągali sznury, nadając ton weselny dźwiękom.

Spojrzałem przez okno w dół i zobaczyłem ulice, na których przechodnie stawali zdziwieni. Mgła opadła nagle, deszcz ustał, rozjaśniło się niebo i blade słońce jesienne odbiło się promieniami w Wiśle.

— On zawsze chmury rozbił i rozpędził — powiedział świątnik.

Z okien podwawelskich domów wychylały się mieszkańcy i poglądali ku wieży. Potem zamykali okna, szli na ulice i skupiali się w gromadki.

Zygmun bił bez przerwy. Na miasto rozszedł się jego głos potężny i silny, wilgocią powietrza wzmocniony, aksamitny w wybuchach dźwięku.

A myśmy ciągnęli za sznury, uginali kolana i podłatywali. W miarę jego rozkołysania, w miarę dźwięków, bijących z Wawelu, coraz więcej krakowian wychodziło z domów. Wiedziałem, jak dążyli ku Rynkowi.

— Coś się stało — pomyślałem — ale co?

Tu nikł nic nie widział. Świder i Walas, od rana zajęci czyszczeniem ołtarzy, nie umieli nas objaśnić, ani nie wiedzieli studenci takie jak ja, dlaczego dzwonimy, ani owi murarzykowie.

Nie mógł Zygmun zwiastować miastu żadnej nowiny smutnej, bo jego gra była wesola, szybka, pogodna.

— Rezurekcyjnie bić nim chłopcy, jak na Zmartwychwstanie Pańskie!

Więc czepiliśmy się węzłów silniej, nogi w pętle włożyliśmy głębiej i dalej kofysać huśtawę dzwonu, niechby z osi wyleciał, wyskoczył z wieży choćby! Biło z siłą ogłuszającą serce i tony wybiegały coraz piękniejsze. Potem świątnicy dali znak. Rozkołysany dzwon szedł sam. Myśmy odstąpili i patrzyli na niego dumni i zadowoleni z pracy.

Kiedy po raz pierwszy serce zaważało się w ruchu, czeplił się go Świder i porwany zawist z podkurczonymi nogami. Nie śmie bowiem serce uderzyć niepewnie w rozdźwięczony spiż, bo grozi to pęknięciem kielicha. Siły trza było, aby mocowa się z tym żelazem bującym, które uderzyć chciało dalej.

Dzwon ucichł.

W uszach szumiało nam, twarze pały. Teraz dopiero usłyszałem, że grają dzwony wszystkich kościołów krakowskich. Bił Półzygmunt na wieży Mariackiej, kołatał Jacek u Dominikanów, Florian na Kleparzu, Boże Ciołki na Kazimierzu, dzwony jezuickie na Wesołej i parafialny w Podgórzu.

Gdy Zygmun ustał, cichy powoli i one. Świątnicy gadali między sobą.

— Mariackie dzwony też kończą.

— Podgórski dźwięku nima.

— Na Piasku jeszcze grają.

Zbiegałem na dół. Miasto wyległo na ulice, a gdzieś od Wiśnej słychać było orkiestrę, idącą ku Rynkowi.

Tam tłumy skupiły się pod wieżą Ratuszową, w jedynym miejscu, gdzie warta austriacka oznaczała przynależność Krakowa do monarchii Habsburgów. Orkiestra kolejarzy stała przed odwachem i grała wesołe marsze.

Nagle z ulicy Grodzkiej sprężystym krokiem wkroczyła kompania wojska, wojska polskiego! Na jej czele szedł generał Roja, witany okrzykami tłumów, wśród kwiatów jesiennych, rzucanych mu z okien.

Na czapkach mieli kokardy narodowe, w nocy tajnie uszyte, bączki zamienili na orzełki z blachy, buty i mundury mieli liche, a karabiny porządnie. Ale miny mieli tegie, choć młodzi byli i wzrostem mali. Stanęli kompanią przed odwachem.

Gdy hejnał na wieży Mariackiej grał godzinę dwunastą, gdy orkiestra rzęła hymn narodowy, gdy chorągwie biało-czerwone wykwiwały na domach, gdy ludzie płakali i nieznajomi ściskali się za ręce, rozległy się głosy komendy polskiej, a warta Deutschmeisterów stanęła na baczność.

Stali ci styryjczycy i tyrolczycy, chłopcy barczyste i odpasione, przed nami ponuro prezentując broń, w chwili gdy ich dowódca odawał Roji szablę, i patrzyli nienawistnie na kompanię chłopców, w ręce której składali swą władzę.

Czepiony kraty odwachu widzę jeszcze złe błyski w ich oczach, gdy spadał żelazny dwugłowy orzeł Harbsburgów i pękł na dwoje, i widzę ciągle ich złość, gdy biały jednogłowy zawisł u szczytu.

Wojsko polskie zaciągnęło wartę. Tłumy wyły.

W tej chwili poczułem, że ciągnie mnie ktoś za nogę. Odwróciłem się i z przerażeniem dojrzałem ojca, stojącego z boku Bobrzyńskim.

— Cóż tu robisz? Poszedłeś za szkołę?

Próbowałem się wytknąć, ale nie szło. Wreszcie zacząłem bąkać zdyszany:

— Byłem na Wawelu. Dzwoniłem w Zygmunta.

Niespodziewanie ta wymówka zrobiła na nich wrażenie. Bobrzyński powiedział:

— To go uzprawiedliwia, panie Stanisławie, ale w skórę powinien dostać, tak jakeśmy mówili.

Śmiejąc się, wziął mnie ojciec za kark i bijąc tak silnie, że czułem to boleśnie, powiedział:

— Starym krakowskim zwyczajem bije ci w skórę na Rynku, nie dlatego, żeś poszedł za szkołę, ale żebyś pamiętał ten dzień!

Dzień był 31 października 1918 roku.

Ekspedycja paczek do Rosji i innych krajów oraz poszukiwanie adresów

SZWAJCARSKI DOM WYSYŁKOWY

Tel-Aviv, ul. Hess 1, róg Allenby 33

Jerozolima, R. Leibowich, ul. Ben Jehuda 2, Sansur Bldg.

Haifa, Dr Groshut, ul. Herzl 32 (Księgarnia)

Nathanya, M. Kuschlin, ul. Herbert Samuel, Dom Handlowy

Rechovoth, Keibel Księgarnia, ul. Herzla

naprzeciw Anglo-Palestyńskiego Banku.

„EGO“

OPINIE ANGIELSKIE

Jaki jest sekret angielskiego kunsztu politycznego? W jaki sposób ten naród, — którego pewność siebie, lenistwo, niedbałość i nonszalanckość doprowadzały nas chwilami do szewskiej pasji, — wysunął się na czoło wszystkich narodów świata? Jak się ta dzieje, że ta mała, ledwo widoczna na globusie wyspa, miała więcej do powiedzenia o losach świata, niż jakiekolwiek inne mocarstwo w historii? Położenie geograficzne, klimat, nawet szczęście — nie potrafią tego wytłumaczyć. Odpowiedź nie nadaje się do łatwego uogólnienia. Nie zbladzimy jednak, twierdząc, że nie miała rolę w rozwoju Imperium Brytyjskiego i w sposobach jego polityki grała ta typowa cecha angielskiego charakteru — tolerancja. Wyrozumiałość wobec cudzych, a zwłaszcza wobec własnych błędów, wad i ulomności, która sprawiła, że angielski ustroj i ustawodawstwo nie są — jak w innych krajach — zbiorem ściśle określonych, — a w braku określenia, skomentowanych, — przepisów, ale posiadają płynność i niesprecyzowanie, możliwe tylko tam, gdzie kompromis uchodzi za najwyższą cnotę. Podstawą angielskiego ustroju nie jest pisana konstytucja, ale... gentlemen agreement.

Władza i prerogatywy króla — o których kronikarz francuski Froissart pisał w XIV wieku, że „król angielski musi słuchać swego ludu i czynić jego wolę” — choć teoretycznie olbrzymie i których oznaki widome są na każdym kroku (*Royal Air Force, Royal Navy, Royal Mail*, wyroki, ogłaszane w imieniu króla, zaburzenia uliczne, które są „the breath of the Kings peace”, aresztowanie „during the Kings pleasure” i t.d.,) są w praktyce obecne i były nawet w czasach absolutyzmu łagodzone poszanowaniem praw ludu. A te prawa ludu nie zawsze były pisane, a gdy były pisane, nie zawsze były zbyt precyzyjne.

Prawa premiera brytyjskiego, — głowy ciał wykonawczego, — są równie szerokie, równie niepisane i równie nie nadużywane... (Jest rzeczą charakterystyczną, że urząd premiera zostaje w Anglii zalegalizowany dopiero z początkiem bieżącego wieku!) Premiera mianuje król. Ale król wybiera na premiera zawsze przewodniczącego najliczniejszej partii. W roku 1923, gdy choroba Bonara Law i rozłam w partii konserwatywnej sprawiły, że nie było wiadomym, kto ma zostać nowym premierem, król wybrał Baldwina z pominięciem bardziej zasłużonego i bardziej doświadczonego Lorda Curzona. Król wychodził z założenia, że ponieważ lordowie nie mogą przemawiać w Izbie Gmin, nie mają kwalifikacji na premiera. Ta interpretacja królewskiej była słuszną i wywołującą się z ducha owego „gentlemen agreement”, które zachowało Izbę Lordów, ale które, uznając jej niedemokratyczność, ograniczyło jej uprawnienia.

Izba Lordów składa się 1) z lordów dziedzicznych, — potomków ludzi zasłużonych, którzy zostali kiedyś kreowanymi lordami, 2) z lordów mianowanych obecnie przez króla, a których potomkowie będą dziedziczyli ich tytuły, 3) z 26 najstarszych — urzędem — arcybiskupów i biskupów, 4) z niektórych wysokich sędziów. Lordowie mają prawo debatowania i mogą utrudniać pracę Izbie Gmin, ale nie mogą się skutecznie sprzeciwić jej woli. Miara angielskiej tolerancji jest jednak fakt, że od czasu ograniczenia władzy Izby Lordów, t.j. od 1911 r., nie było poważnej różnicy zdań między obiema izbami.

Izba Gmin jest wybieralna. Anglia nie zna jednak proporcjonalnej ordynacji wyborczej. W praktyce zdarza się często — od czasu powstania trzeciej partii — że jakaś partia posiada znaczną większość w parlamencie, choć nie miała większości głosów w kraju (np. konserwatyści w 1922 r. i w 1924 r.). I znowu tolerancja brytyjska akceptuje tę niesprawiedliwość bez szemrania. Dziś korzysta z niej jedna partia, jutro może skorzystać druga, a umożliwia to utrzymanie owego „systemu dwupartyjnego”, który Anglicy uważają za najlepszą formę polityczną. System ten jest zresztą fikcją, jeżeli istnienie umożliwiła znowu angielska wyrozumiałość. Dawniej istniały tylko dwie partie: whigowie i torysi (liberałowie i konserwatyści), od 1906 r. poczęła się jednak wybijać Labour Party, która po ubiegłej wojnie stała się właściwą opozycją konserwatystów. Labour Party twierdziła jednak, że ponieważ tak konserwatyści jak i liberałowie są partiami, wierzącymi w ustroj kapitalistyczny, i obie te partie są w opozycji do ruchu robotniczego, nie się w systemie dwupartyjnym nie zmienilo.

Czynne prawo wyborcze ma zasadniczo każdy obywatel, liczący ponad 21 lat życia i mający stałe miejsce zamieszkania. Są jednak wyjątki, które sprawiają, że niektórzy ludzie mają dwukrotne prawo głosowania. Np. ludzie, mieszkający na przedmieściu, którzy są jednak z tytułu posiadania biura czy sklepu zapisani również w City, profesorowie uniwersytetów, głosujący raz w miejscu zamieszkania, a nado wybierając swych własnych posłów, t. zw. uniwersyteckich, na mocy ustawy z 1603 r. Ponieważ tych posłów jest tylko 12 na 615, Anglia toleruje wyrozumiale ten niezbyt demokratyczny zwyczaj.

Posłem może zostać każdy obywatel, posiadający bierne prawo wyborcze, za wyjątkiem lordów, duchowieństwa anglikańskiego i rzymskokatolickiego, bankrutów i umysłowo chorych. Koszty kampanii wyborczych ponosi państwo, jednak celem uniemożliwienia kandydatur „na wariata”, każdy kandydat musi złożyć kaucję £ 150, którą traci, jeśli nie uzyska 1/8 oddanych głosów.

Procedura obrad Izby Gmin jest również niesprecyzowana, jak większość angielskich urzędów. Uderza niesłychana rzadkość głosowania. Jeśli okazuje się w dyskusji, że wniosek cieszy się poparciem partii większościowej, opozycja nie będzie się domagała głosowania, nawet jeśli będzie widziały szanse przypadkowej większości. I naodwrot, większość w głosowaniu o votum zaufania dla rządu nie zawsze uważa się za wygrana. Rząd Chamberlaina np. upadł, mimo iż otrzymał w parlamencie większość paruziesięciu głosów. Z dyskusji jednak wynikało, że nie cieszy się poparciem kraju.

Trudno w tych wąskich ramach podać więcej przykładów tej niezrozumiałej dla nas angielskiej wyrozumiałości. Wiele ciekawych przykładów znajdzie zainteresowany czytelnik w polskiej książce Mieczysława Szerera p.t. „Naród w Parlamencie”. Nie wolno jednak zapomnieć

że Parlament jest tylko fragmentem angielskiej panoramy; tych dziwnych zwyczajów, które z małej wyspy stworzyły Imperium Brytyjskie.

Działaleckość, ustawione po obu stronach kanału La Manche, i bombowce, które w 1940 i 1941 roku leciały niemal jednostronnie z Niemiec nad miasta i miasteczka wysp brytyjskich, a które w 1942 i 1943 wiozły w kierunku przeciwnym lawinę bomb, nie są jedyną metodą walki w tej dziwnej i groźnej wojnie, tak odmiennej od wszystkich wojen, jakie zna historia ludzkości. Jedną z tych „innych” form walki jest wojna na falach eteru. Ukazały się obecnie w Londynie dwie doskonałe książki na ten temat. „Radio Goes to War” Charles’a J. Rolo (Faber and Faber, 1943) i „Voices in the Darkness” E. Tangye Lean’a (Secker and Warburg, 1943). Pierwsza, pisana przez Amerykanina na podstawie doświadczeń radiowego podsłuchu uniwersytetu w Princeton, druga przez Anglika — na podstawie doświadczeń B.B.C. Czytając te książki — z których „Radio Goes to War” jest bardziej systematyczna i wszechstronna, a „Voices in the Darkness” jest napisana bardziej błyskotliwie i po literacku — uzmysławiamy sobie nagłe nie tylko rewolucyjne możliwości radia podczas wojny, ale także fakt, że może ono odegrać decydującą rolę w „wygraniu pokoju”, które będzie znacznie trudniejsze od wygrania wojny.

Analiza zwyczajów radiowych, przeprowadzona oficjalnie w Stanach Zjednoczonych, stwierdza, że 60% ludności czerpie swe informacje z radia, 20% z prasy, a 20% z prasy i z radia. Cyfry powyższe otwierają bardzo szerokie perspektywy na po wojnie. Wojna radiowa musi się jednak kierować innym przesłankami. Historia podsłuchu radiowego, opisana w powyższych dwóch książkach, jest bardzo ciekawą i pasjonującą lekturą; o ile jednak ciekawszą i bardziej „thrilling” będzie książka, która ktoś kiedyś napisze o podsłuchu radiowym w krajach okupowanych.

Propaganda radiowa Goebbelsa skierowana była do wolnego słuchacza wolnej Anglii. W czasach najgroźniejszego kryzysu nie było w Anglii żadnych ograniczeń radiowych. Każdy człowiek mógł nastawić swój odbiornik na każdą dowolną długość fali. O każdym programie wolno było swobodnie mówić. Wiele gazet do dziś dnia utrzymuje stale rubryki, informujące publiczność o audycjach radia niemieckiego, włoskiego i japońskiego. William Joyce, angielski zdrajca radiowy nr. 1, którego redaktor „Daily Expressu” nazwał Lordem Haw-Haw, był w pewnym okresie jedną z najbardziej znanych postaci w Anglii. Cytowały go nie tylko kabarety i magazyny humorystyczne, ale także poważna prasa. Co najmniej 1 milion odbiorników było w Anglii nastawionych na Zeesem, w porze przemówień Lorda Haw-Haw. Pamiętam, jak pewien wiedeński Żydziekinier tłumaczył mi „szaleństwo” tego stanu rzeczy. „Zrozumieją to, mówią, gdy obudzą się pewnego ranka w szpitalnym łóżku”. Nie rozumiał, — tak jak wielu Polaków do dziś dzień nie rozumie, — sekretu angielskiego „moralu”. Anglia nie zna od lat terroru politycznego. Każdy obywatel miał swobodę wypowiedzenia swych myśli. Każdy obywatel słyszał niejeden i nauczył się w ten sposób odróżniać ziarno od plew. Byli ludzie w Anglii, którzy — jak Lloyd George — w czasie wojny burskiej opowiadali się po stronie Boerów. Wolno do dziś dnia głośno wyrażać swe sympatie dla Irlandii. Dyskutuje się z ludźmi, głoszącymi niepopuluarne teorie. Zaprzecza się im, jeśli są nowożytni, uśmiewa się, jeśli są dziwakami. Nie ma jednak renesansu; terroru władzy, ani terroru opinii publicznej. I to stworzyło tę odporność angielską na propagandę Lorda Haw-Haw. Słuchał co tak, jak słuchają dzisiaj innej propagandy. Kiwali znacząco głowami: „Very interesting, indeed!” A potem szli dalej, spokojnie, do swych zajęć. Ani mowy Lorda Haw-Haw, ani najbardziej wyszukana propaganda nie nawróca Anglika. Przekonać go może tylko własna myśl. A myśl Anglika jest jak kiplingowski „kot, który zawsze chadza własnymi drogami”.

Dnia 17 lipca 1943 ogłosił rząd brytyjski swoje propozycje w sprawie reformy szkolnictwa. W dużym skrócie i uogólnieniu są one następujące: 1) większe rozpowszechnienie ochronki dla dzieci poniżej wieku szkolnego, 2) podniesienie wieku szkolnego do lat 15-tu, a z czasem 16-tu, 3) reorganizacja szkół powszechnych i średnich, która umożliwiłaby każdemu dziecku studia, 4) ustawowe uznanie obowiązku wychowania religijnego, 5) podjęcie pod nową reformę także szkół prywatnych, 6) wprowadzenie obowiązku dodatkowego kształcenia dla młodzieży pracującej do lat 18-tu, 7) wprowadzenie kontroli nad wszystkimi szkołami, 8) zmniejszenie objętości klas, 9) zniesienie egzaminów wstępnych do szkół średniej i stworzenie nowego systemu klasyfikacji dla dzieci, które przechodzą ze szkół powszechnych do szkół średnich, 10) przerobienie programu szkolnego, 11) popieranie organizacji młodzieżowych, 12) umożliwienie ubogim uczniom studiów uniwersyteckich, 13) reforma obecnego sposobu doboru i kształcenia nauczycieli.

Program bardzo szeroki! Zamierzenie bardzo gruntowne! Sprawa szkolnictwa w Wielkiej Brytanii prosi się o stwierdzenie, że stan obecny wymaga reformy. Oświadczają to jednogłośnie wszyscy... cudzoziemcy. Reforma szkolnictwa grozi się tu co pewien czas, ale kończy się to wszystkim niezasadniczymi ulepszeniami i pozostawieniem rzeczy zasadniczych po staremu. Aby postawić sprawę jasno: walka toczy się o „Public School”. Czy utrzymać te typowo angielskie instytucje szkoły średniej-internatu dla chłopców od lat 13-18 w obecnej formie, — która praktycznie rzecz biorąc, jest dostępna tylko dla dzieci ludzi bogatych, — czy też znieść ją, czy też uczynić ją bardziej demokratyczną.

„Public Schools” kształtujące warstwę, z której rekrutuje się angielska klasa rządząca: wysocy urzędnicy państwowi, wyżsi oficerowie armii i marynarki, do niedawna większość polityków i mężów stanu (znane jest powiedzenie Wellingtona, że bitwa pod Waterloo została wygrana na polach cricketowych Eton) posiadają także swą własną hierarchię. Od szkół o światowej sławie jak Eton, Harrow, Rugby, Winchester, Christ’s Hospital, Charterhouse i t.d., aż do bardzo podrzędnych, które także wszyscy znamy z li-

teratury, choć nie z najlepszej strony. Nie stwarzają jednak te szkoły, jak się mylnie przypuszcza, szablonowego człowieka. Lord Baldwin, Churchill i Pandit Nehru to wychowankowie Harrow. Sir Oswald Mosley („wódz” angielskich faszystów) i Sir Stafford Cripps ukończyli szkołę w Winchester. Prof. J. B. S. Haldane (czołowa postać partii komunistycznej) i inny faszysta, Captain Ramsey, wyszli z Eton. Rugby wydało Chamberlain’a i dra Temple, prymasa Anglii.

Trzeba jednak przyznać, że ten stan rzeczy nie jest bardzo demokratyczny. Również program naukowy tych szkół nie odpowiada wymaganiom, jakie stawia współczesny postęp. Z drugiej jednak strony, doskonały program i demokratyczne (coż za paradoks!) zasady selekcji w szkołach niemieckich i austriackich, — niewątpliwie najlepszych w Europie, — nie upoważniają do stwierdzenia, że wyniki systemu angielskiego są gorsze. Po prostu nie system robi ludzi, ale ludzie stwarzają wartość systemu. I dlatego obecny projekt na pewno także skończy się kompromisem. Kompromisem, który wiele spraw ulepszy, ale systemu „Public School” nie zniszczy.

Demokracja angielska nie lubi cudzych wzorów. Nieraz możnaby, ale zawsze na swój sposób dochodzi do wniosków, które nam się wydają dziwacznymi, ale z których Anglicy są zawsze bardzo dumni i zadowoleni i które, koniec końców, w jakiś niewytłumaczalny sposób okazują się w praktyce najlepszymi.

Niemiecka propaganda oszkalowała na swój zwykły sposób Imperium Brytyjskie i sprawiła, że w umysłach ludzi z kontynentu (a nawet Amerykanów) obraz imperium znieskształcił się jak w krzywym zwierciadle. Gdy więc „Times” w artykule, ogłoszonym dn. 21 listopada 1942 r., stwierdził, że „dla uszu amerykańskich, rosyjskich i chińskich słowa „empire” i „imperial” zawierają tak nieprzyjemne asocjacje historyczne, że stają się zupełnym tabu”, zaprotestowała przeciw temu Lady Rhondha w serii artykułów p. t. „The Four Empires”, ogłoszonych w londyńskim tygodniku „Time and Tide”, którego pisma jest redaktorka.

Lady Rhondha stwierdza przede wszystkim, że istnieją prócz Wielkiej Brytanii trzy wielkie konfederacje ludów, znajdujących się pod władaniem rządów Chin, Rosji i Stanów Zjednoczonych, i że są one, jej zdaniem, także imperiami. Jaka jest różnica między nimi a Wielką Brytanią? Jedyną różnicą, jaka może dostrzec, jest, że terytoria, zdobyte przez pozostałe trzy mocarstwa, przylegają przeważnie do ich pierwotnych granic, podczas gdy my rozprzestrzeniliśmy się na „siedmiu morzach”.

Ekspansja Chin, których rząd od zarania historii panował nad terytoriami tak wielkimi, jak Europa, i zawierającymi wiele rozmaitych ras, mówiących różnymi językami — dokonała się 3000 lat temu, a choć obecna Republika Chińska wyrzekła się nazwy „imperium” po obaleniu cesarstwa, to jednak Chiną są nadal mocarstwem imperialnym, w pełnym tego słowa znaczeniu. W imię tych zasad podjęły walkę na śmierć i życie z Japonią, aby przeszkodzić odczerpaniu się od „imperium” narodu mandzurskiego.

Rozwój imperialny Rosji i Wielkiej Brytanii bieżą zresztą niemal równolegle. Rosja w połowie XVI wieku poczęła szukać dróg na wschód poza Ural a dnia 31 grudnia 1600 r. królowa Elżbieta podpisała Statut Towarzystwa Indii Wschodnich. „Podobie te biegię według stałego wzoru: odkrycie handel, podbój, kolonizacja”, a schemat ten zawierał w sobie tak wiele okrucieństwa i niesprawiedliwości, że mówiono np. o metodach rosyjskich na Alasce, iż „jeśli zabito więcej wydr niż tubylców, stało się to tylko dlatego, że było więcej wydr do zabicia, i dlatego, że tylko wydr miały wartość rynkową”. Gdy w r. 1783 nasłapił rozłam anglosaski w Ameryce, Rosja zajęła już całą Syberię i przekroczyła Cieśninę Beringa i posuwała się na południe ku Kalifornii. Dopiero w pierwszej połowie XIX wieku zaprzęta Rosja swej ekspansji, a sprzedaż Alaski Stanom Zjednoczonym w r. 1867 ograniczyła się do kontynentu azjatyckiego. Dopiero wówczas przeszła ze stadium podboju do stadium kolonizacji. Jednak oile fazy kosztowały wiele krwi i nędzy podbitych narodów.

Słany Zjednoczone powstają także na skutek imperialistycznego podboju, ale nawet po r. 1783 ich rozwój szedł po linii imperialistycznej. Amerykańska wojna domowa np. toczyła się nie tyle o kwestię muryzacji — jakby to chciał mówić hipokryzja amerykańskich „bronzowników”, ale, jak pisał Lincoln: „moim głównym celem w tej walce jest uratowanie Unii, a nie uratowanie albo zniesienie niewolnictwa. Gdybym mógł uratować Unię, nie uwalniając ani jednego niewolnika, uczyniłbym to...”

Wielka Brytania, będąc wyspą, szła w podbojach morzem i to jest jedyną różnicą między jej imperialnym rozwojem, a rozwojem Chin, Rosji i Ameryki.

Amerykańska wojna o niepodległość nauczyła jednak Wielką Brytanię, że kolonie są szczególnie wątpliwą wartością i że należy ich o ile możliwe unikać. I dlatego Anglia zwróciła po wygraniu wojny z Napoleonem Francji jej najbogatsze kolonie, a w miarę jak własne kolonie Anglii się rozwijały, nadawała im samorząd, a potem ustroj Dominium.

Sprawa Indii nie jest tak prosta, jak tego chce doktrynerska symfistika. Indie są krajem wielkością Europy (bez Rosji), na którego terytorium istnieją dziesiątki ludów, ras, państw, języków i kast. Administracyjnie dokonała tu Wielka Brytania wiele dobrego. Z chaosu stworzyła zorganizowany kraj, zniósła głód, i utrzymała pokój wewnętrzny; a fakt, że 400 000 armia wystarczała do rządu krajem 300 milionów, świadczy, iż nie było wielkich oporów. Wszystkie tarcia, jakie istniały, były na innej — nie materialnej — płaszczyźnie. Jak słusznie zauważa Lady Rhondha, „jeden cywilizowany naród panował nad innym narodem cywilizowanym — a to zawsze i nieuchronnie prowadzi do konfliktów”.

Obecnie owe cztery imperia wyglądają następująco: Chiny stały się republiką w 1911 r., a mimo to walczą z Japonią o utrzymanie jedności imperialnej swych wszystkich prowincji. Rosja stała się Związkiem Republik Komunistycznych i „chociaż sowieckie ideały wychowa-

nia, wiedzy i wielu innych spraw są nawskroś współczesne, to jednak metody sowieckie są pod pewnymi względami tak imperialistyczne, jak to rozumiano w XVIII wieku. Wielkie roboty dokonywane są częściowo przez olbrzymi i niestrużony entuzjazm chętnych, ale są one dokonywane nie tylko przez chętnych. Używa się także pracy przymusowej na olbrzymią skalę. Około 20 milionów ludzi na całym obszarze Rosji trzymany jest w obozach pracy i są oni Rosji dzisiaj bardzo na rękę”.

Wkład Stanów Zjednoczonych i Anglii do cywilizacji świata leży na zupełnie innej płaszczyźnie niż wkład Rosji. „Między dwoma biegunami — wolnością i porządkiem — imperia anglosaskie poszły drogą wolności. Doszły one do przekonania, że dobro znaleźć można we wszystkich niemal cywilizacjach, ale że cywilizacja nie może istnieć, jeśli jest przemocą pozbawiona własnej podstawy społecznej i politycznej”. I dlatego w przeciwieństwie do Rosji tendencja współczesna imperii anglosaskich nie jest aneksja. Dowodem tego jest stanowisko Stanów Zjednoczonych wobec Filipin, Meksyku i państw południowo-amerykańskich, a Wielkiej Brytanii wobec Południowej Afryki (która stała się dominium, mimo iż większość jej ludności jest niebrytyjskiego pochodzenia i mimo iż za naszej pamięci była z Wielką Brytanią w wojnie), wobec Irlandii i wreszcie oferta z r. 1942, którą Sir Stafford Cripps złożył Indiom.

To wszystko nie oznacza bynajmniej „likwidacji” imperium brytyjskiego. Po pierwsze, jak wskazuje historia współczesna, niezależność dominów nie przeszkodziła ich udziałowi w obu wojnach, toczonych przez Wielką Brytanię w Europie, a udział ten podkorywany był wskazaniami nie tylko sentymentalnymi, ale także rzeczowymi. Wielka Brytania potrafiła stworzyć więzy silniejsze, niż więzy wspólnej władzy państwowej. A więzy te wytrzymują już drugą próbę, podczas gdy teorie niemieckie „Blut und Boden” i „rasy nordyckiej” już drugą wojnę przegrywa. A po drugie, Wielka Brytania wiele się nauczyła w ciągu tych ostatnich lat. „Cztery lata temu wybrałabymy może łatwiejszą drogę. Droge, którą zachwalali nam nasi wrogowie. Zasmakowalibyśmy może w owej „pride of self-liquidation”. Cztery lata temu byłoby być może nastawienie na abdykację. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj wiemy, że abdykacja byłaby zawodem zarówno dla nas, jak i dla świata”.

Podobno Knut Hamsun jest „quislingiem”. Jest to bardzo przykre i bardzo bolesne, ale nie jest niepowetowane. Nie dla Norwegii. Ten skalkisty kraj, którego jedynym bogactwem była inteligencja i pracowitość ludzi, zamieszkujących go, wysunął się na czoło kulturalnych państw świata. Znamyśmy wszyscy Norwegię, ojczyznę fiordów, narciarzy i żeglarzy, i znamyśmy ludzi spokojnych, zrównoważonych, praktycznych i jakże ludzkich, choć wielu z nas nie było nigdy w Norwegii i nie widziało na oczy Norwegów. Było to zasługą norweskiej literatury. Knut Hamsun, Sigrida Undset, Jan Boyer i wielu innych nauczyło nas kochać i podziwiać ten kraj, o którym bez nich nie byłoby wiedzy więcej, niż naprzykład o Portugalii i Chile.

Jeszcze jedną refleksję można wysnuć z faktu, że literatura norweska zyskała sobie światowe uznanie i poczytność. Stało się to mimo, iż jest ona literaturą par excellence narodową. Tłumaczono nam, że literatura polska nie zyskała sobie rozgłosu i poczytności, bo była zbyt zasklepiona w sprawach polskich, które dla świata były mało ważnym i interesującym szczegółem. Twierdzenie to, skomfortowane z „Kryształną córka Lawrensa” albo z egzotykiem „Kobiet u studni”, czy „Błogosławieństwem ziemi”, jest trudne do uzasadnienia. Język norweski jest dla Zachodu równie obcy i niepotrzebny jak język polski, a historia norweska nie powinna bardziej interesować, niż np. Trylogia. Wnikliwa analiza tego zgadnienia byłaby wdzięcznym tematem dla badacza polskiej literatury i socjologii.

Wiele ciekawych pamiętników polskich opublikowano obecnie na emigracji. Polacy przeżyli tak wiele i spili to w takiej powodzi słów, że zdziw bierzcie, dlaczego nasze obecne przeżycia nie interesują świata. Dlaczego wspomnienia Cekałskiego, Łagiewskiego, Andrzejewskiego, Janty, Katelbacha, Pruszyńskiego i t. d. nie zostały uznane za godne przetłumaczenia na język angielski. Natomiast Norwegia, której obywatel i żołnierz napewno nie przeszedł więcej i których dzieje w obecnej wojnie przedstawiają co najwyżej tę samą wartość pisarską, co sprawy polskie, wydała w języku angielskim książkę — pamiętnik burmistrza Narwika Teodora Brocha, p. t. „The Mountains Wait” (Michael Joseph Ltd., 1943). Jest to pamiętnik burmistrza Narwiku. Historia jego kariery zawodowej i politycznej, rozpoczynająca się od chwili, gdy jako młody adwokat osiedlił się w tym małym miasteczku, którego rozwój był uwarunkowany eksportem rudy żelaznej ze Szwecji. Jego kariera zawodowa, to szereg opowiadań z życia prowincjonalnego adwokata; przypomina ona klimatem „Kobiety u studni” Hamsuna. Jego kariera polityczna to dzieje socjalisty, który osiąga najwyższy szczyt, dostępną dla prowincjonalnego działacza społecznego, gdy zostaje obrany burmistrzem swego miasta. Wreszcie historia najazdu niemieckiego, walki o Narwik i ucieczki w sposób prosty i niepretensjonalny, nie sadzący się na nadzwyczajności ani na moralizowaniu. Czytając jego książkę, rozumiemy, dlaczego strata Hamsuna nie jest dla Norwegów stratą niepowetowaną. Jeśli burmistrz małego prowincjonalnego miasta, nie mający żadnych ambicji literackich, potrafi tak pisać jak Borch, świadczy to o wysokiej kulturze duchowej narodu.

Dominik Szerbic.

NOWOŚĆ!
JADWIGA CZECHOWICZ
POZWÓL MI WRÓCIĆ
wiersze
Rosja 1940 — Palestyna 1943
Na kładem
Wydawnictwa „W Drodze”
Cena: 125 milsów na papierze zwykłym,
200 milsów na lepszym papierze.

PERSPEKTYWY GOSPODARCZE POWOJENNEJ EUROPY

(dokończenie ze strony 5).

jęty system gospodarki kierowanej. Wprawdzie w Niemczech głównym motywem zmiany systemu gospodarczego była chęć szybkiego uzbrojenia się i przygotowania wojny, do czego gospodarka planowa była sprawniejszym narzędziem niż system, oparty na wolności rynku. Zmiana systemu gospodarczego w Niemczech odbyła się zresztą także pod naciskiem klęski bezrobocia, związanej z kryzysem, i dopiero w trakcie rozwijania nowego systemu gospodarczego znalazło w nim kierownictwo polityczne sprawne narzędzie dla swoich celów. System kierowany może służyć wszelkim celom, wyznaczonym mu przez władzę, i będzie miał stanowczą przewagę przy odbudowie krajów, dotkniętych wojną. Głównymi zaletami systemu kierowanego są więc jego ścisły związek z dążeniami do zabezpieczenia wszystkich warstw społeczeństwa i możliwość sprawnego i szybkiego przeprowadzenia demobilizacji i odbudowy w ramach tego systemu.

Produkcja pozostaje i w tym systemie zorganizowana przez przedsiębiorstwa prywatne, zysku nie uważa się jednak za jedyny i wystarczający wskaźnik czy regulator działalności gospodarczej i uzupełnia się go interwencją, rynkową centralnego kierownictwa. Środki, jakie stoją do dyspozycji państwa, są bardzo różnorodne i sięgają od polityki wyłączenia monetarnej, regulującej tylko podaż pieniędzy i stopę procentową, do bezpośredniego angażowania się państwa w produkcję. Stosowanie pewnych z nich zmienia same zasady systemu, opartego na prywatnej przedsiębiorczości i na ryzyku właściciela kapitału. Trudno dziś powiedzieć, jak daleko zmiany te pójdą, sam kierunek jest jednak wyraźny i dąży do coraz silniejszej kontroli publicznej także i przy tych transakcjach, których ryzyko kapitałowe i ewentualny zysk są wyłącznym udziałem prywatnego przedsiębiorstwa.

Sytuacja w Stanach Zjednoczonych i w całym Nowym Świecie jest jeszcze ciężej odmienna. Kryzysy i depresje gospodarcze nie zdołały tam jeszcze zachwiać wiary w sprawność systemu, opartego na zupełnej swobodzie prywatnego przedsiębiorcy. Mówi o fortunach, czekających każdego zdolnego i energicznego człowieka i o wysokim poziomie życiowym dla reszty, jest ciężej tam jeszcze duża siła. Stoi za tym rzeczywista energia i zdolność organizacyjna przedsiębiorcy, nie skrupowanego tradycjami starego świata i eksploatującego ogromne bogactwa naturalne. Można wątpić w to, czy niczym nie skrupowana konkurencja jest wystarczającą siłą organizacyjną i dziś, kiedy zasoby naturalne Stanów Zjednoczonych zostały już wzięte pod eksploatację, a niektóre nawet są na wyczerpaniu. Ideologia gospodarcza, opierająca się na nieograniczonych możliwościach wolnego kapitalizmu, jest jednak realną siłą, i wydaje się, że niewątpliwie sukces techniczny i organizacyjny produkcji wojennej będzie przez przedsiębiorców amerykańskich dyskutowany w walce o zniesienie krępujących zakazów i w walce o szerokie rynki światowe, a w tym i europejskie. Sukces produkcji wojennej amerykańskiej jest w rzeczywistości świadectwem sprawności nie tylko firm wykonujących zamówienia zbrojeniowe, ale i ogólnego kierownictwa gospodarki wojennej, siła przebojowa zasad wolnej gospodarki dozna jednak wzmocnienia równoległe z wzbogaceniem się przedsiębiorstw. Walka z New Dealem i zasadą kierowanej gospodarki może być przez te siły wygrana.

Ogólnie biorąc, system gospodarczy amerykański reprezentuje dynamizm, silne tempo przemian i bogacenia się i równocześnie duże ryzyko załamania i depresji.

Gospodarka kierowana może też być dynamiczna, zwłaszcza jeśli jest pod wpływem sił politycznych, prących ku wielkim zbrojeniom lub ekspansji imperialnej, może jednak także dopasować się do systemu statycznego lub zmieniającego się wolno. Na tym polega jej wyższość.

Oba te systemy reprezentować będą dla polityki gospodarczej państw europejskich przeszkodą na wzrastające umiędzynarodowienia gospodarki — w stosunku do okresu przedwojennego, który można by scharakteryzować jako dążenie do samowystarczalności w granicach państwowych. O ile Europa odbudowywać się będzie w ramach systemu wolnokapitalistycznego, umiędzynarodowienie to dokona się przez skoncentrowanie ośrodków dyspozycji w wielkich centrach finansowych świata, a więc przede wszystkim w Ameryce. Przy utrzymaniu gospodarki kierowanej odbyłoby się to przez wzmocnienie sieci umów handlowych między państwami i stworzenie międzynarodowych organów kontrolnych, stabilizujących warunki wymiany światowej. Punktem wyjścia byłoby wtedy już istniejące centrale gospodarcze, zakupuje na rachunek rządów nadwyżki podstawowych surowców.

Włodzimierz Bratkowski

O działalności Funduszu Kultury Narodowej

W związku z nieścisłymi informacjami o działalności Funduszu Kultury Narodowej, jakie pojawiły się swego czasu w prasie palestyńskiej, podajemy ze sprawozdania FKN za r. 1942 i preliminarza na r. b. kilka danych, które pozwolą czytelnikowi zorientować się w charakterze i zakresie pracy tej instytucji.

[FKN wypłacał w Anglii w r. 1942 zasiłki stałe 46 osobom: 11 literatom i dziennikarzom, 12 artystom oraz 23 pracownikom naukowym. Zasiłki te łącznie wynosiły 600 £ miesięcznie. Na rok bieżący wobec przyjazdu szeregu osób nowych z Rosji prelimitowano 1.000 £ miesięcznie. Zasiłki jednorazowe pochłaniały miesięcznie w ub. r. około 300 £. W r. b. suma ta została podwyższona o 100 £ miesięcznie.

Z zasiłków Funduszu korzysta także szereg organizacji polskich, działających na terenie Wielkiej Brytanii: Zrzeszenie Profesorów i Docentów Wyższych Uczelni Polskich, PEN-Club Polski, Stowarzyszenie Prawników i Stowarzyszenie Architektów.

W preliminarzu na r. 1943 wstawiono sumę 300 £ na pomoc dla artystów malarzy, rzeźbiarzy i grafików w formie zakupu wykonywanych przez nich dzieł sztuki. Fundusz rozpoczął gromadzenie polskiej produkcji artystycznej na obczyźnie z myślą o muzeach i zbiorach sztuki w Kraju.

Osobny dział akcji Funduszu Kultury Narodowej stanowi pomoc dla studentów Polaków w Wielkiej Brytanii. Obejmuje ona zarówno pomoc dla słuchaczy polskich szkół akademickich (Wydział Lekarski w Edynburgu, Szkoły Architektury w Liverpoolu oraz studentów techników, studiujących pod kontrolą polskiej komisji technicznej z prof. Pruszkim na czele na angielskich wyższych uczelniach w Londynie, Birminghamu, Manchesterze i Cambridge) i studiujących indywidualnie. Ogółem pomocą FKN objętych było 354 studentów, z tego:

1. na Polskim Wydziale Lekarskim	162 studentów
2. na Polskiej Szkole Architektury	35 „
3. w studiach technicznych	55 „
4. na różnych wydziałach	62 „
5. w Szkocii (wojskowi)	40 „

Razem 354 studentów

Pomoc dla studentów obejmowała nie tylko zasiłki stałe, ale i jednorazowe na zakup pomocy naukowych, książek i na opłaty uniwersyteckie.

Poza Anglią pomocą dla uczonych, artystów i literatów polskich FKN obejmował Stany Zjednoczone, Szwajcarię, Szwecję, Argentynę, Brazylię, Kanadę i Bliski Wschód.

W Stanach Zjednoczonych pomocą stała obejmowała 5 pisarzy, 2 muzyków i 2 pracowników naukowych. W Szwajcarii grupa pracowników naukowych wśród internowanych żołnierzy II Dywizji otrzymywała 1.000 fr. miesięcznie. Pomoc dla uczonych, literatów i artystów polskich na Bliskim Wschodzie była zorganizowana w r. 1942 przez prof. St. Kotę i pochłonięła 726 £. Na r. 1943 prelimitowano 3.500 £.

Fundusz Kultury Narodowej bądź opłacał w całości, bądź też udzielał zasiłków lektoratom języka polskiego w Wielkiej Brytanii (Lektoraty w Londynie, Birminghamu i Glasgow), Szwecji (Sztokholm, Lund i Uppsala) oraz Szwajcarii (dwa lektoraty). Preliminarz na r. 1943 przewidywał ponadto utworzenie lektoratów w Meksyku i pomoc na zakup książek dla lektoratów w Stanach Zjednoczonych, zasadniczo samowystarczalnych.

Z wydawnictw FKN subsydiował w r. 1942 następujące: „Nowa Polska”, „Poradnik Oświaty Polskiej YMCA” (częściowo), „Polish Science and Learning”, „Rocznik Bibliograficzny”, „Svjo-Polonia” (pismo wydawane w Sztokholmie i poświęcone badaniu dzieł stosunków polsko-szwedzkich, angielską broszurą Marii Danilewiczowej „Polish Libraries”, wybór z książki Krystyna Lacha-Szyrmy o Anglii i Szkocii, Z Zaleskiej, „Wieczna Warte” i — częściowo — broszurę angielską o młodzieży polskiej, wydaną z okazji Międzynarodowego Dnia Studentów. Na subwencje te wydano w sumie 5.000 £. Na r. b. prelimitowano na ten cel 6.000 £.

Ponadto budżet na rok 1943 przewiduje 1.000 £ na plany odbudowy polskich szkół wyższych i życia naukowego, 2.100 £ na konserwację zbiorów wawelskich oraz na pomoc dla Biblioteki Polskiej w Rzymie i dla Muzeum Rapperswilskiego oraz 3.000 £ na zakup książek polskich, Polski dotychczas i podstawowych dzieł obcych dla bibliotek w Kraju.

W Stanach Zjednoczonych FKN zorganizował Polski Instytut Naukowy. Instytutowi temu, który wydał już kilka okazanych tomów wydawnictwa „Bulletin of Polish Institute of Arts and Science”, przystąpił do publikacji serii monografii naukowych „Polish Institute Series”, zorganizował rozległą akcję odczytów uczonych polskich i obcych oraz zjazd polskich i amerykańskich uczonych w Chicago, poświęcimy w jednym z najbliższych numerów osobne omówienie.

W ataku na FKN jednego z pism polskich, wychodzących w Palestynie, znalazło się m. in. oświadczenie, iż stypendia FKN nie objęły tak wybitnych pisarzy jak Lechonia, Tuwima i Wierzyńskiego. Nie jest to prawda! Tuwim i Wierzyński są stale, od r. 1940, na liście stypendystów FKN, Wierzyńskiemu ponadto FKN sfinansował przejazd z Portugalii do Stanów Zjednoczonych. Lechonia przez cały czas pobytu w Brazylii w r. 1941 korzystał z pomocy FKN. Przestał z niej korzystać dopiero w r. 1942 z chwilą otrzymania pracy w nowojorskiej placówce Ministerstwa Informacji.

WAŻNE DLA P. P. WOJSKOWYCH NA SEZON LETNI

poleca w wielkim wyborze mundury drelichowe i wełniane, szorty, koszule gotowe i na zamówienie, bieliznę trykotową, oraz wszelkie artykuły i galanterię wojskową a także ręcznie haftowane dystynkcje.

GUR-ARIEH

(Właśc. A. Gurman)
TEL - AVIV, ul. ALLENBY 83

NOŻYCAMI PRZEZ PRASĘ NIEMIECKĄ

NONPAREL MÓWI

Ogłoszenia drobne w gazetach są zwierciadłem codziennego życia, jego istotnych trosk, radości i dążeń. Drobnutki nonparelowy druk ułożonych w wąskie szpalty ofert i życzeń ludzkich mówi uważnemu czytelnikowi więcej niż pompacyjne przemówienia i krzyżujące sensacyjnymi tytułami artykuły.

Zaaliśmy sobie trud zanalizowania drobnych ogłoszeń, zamieszczonych w produjących dziennikach niemieckich w ciągu paru miesięcy letnich tego roku. Oto wyniki.

WYMIANY są bodaj najcharakterystyczniejszym rysem dnia powszedniego w Rzeszy. Wobec braku towarów pieniądź stracił na wartości: chodzi o rzeczy, nie o papiery.

W gazetach wprowadzono nieznana do niedawna wśród ogłoszeń drobnych rubrykę „TAUSCH”. Posiadają ją „Hamburger Fremdenblatt”, „Berliner Boersen-Zeitung”, „Muenchner Neuste Nachrichten” i inne poważne pisma. Tylko „radycyna, niezwykle poczytna „Frankfurter Zeitung”, ukrywa wymiany w dziale „Kupno i sprzedaż”. Podobnie czyni „Deutsche Allgemeine Zeitung” (Berlin). Mają do tego powody, ale o tym niżej.

CO WYMIENIAJĄ LUDZIE? Wszystko, ale przede wszystkim poszukują odzieży, a wyzbywają się rzeczy luksusowych i rozrywkowych. Oto pokroś z kilku numerów czerwcowych.

Jakiś mieszkaniec Hamburga oddaje rower damski za piasecz, materiał lub ubranie, inny ofiarowuje dwa aparaty fotograficzne z migawkami Compur za palto, inny znów meble za buty. Jakaś matka szuka wózka dziecięcego za damskie półbutki (Hamb. Fremdbt.); inna dama pragnie zamienić suknię z żorzęty na białą jedwabną: może elegancja, a może boi się rosyjskich wszy, o których piszą jej Hans z frontu. Jedwab chroni od wszy.

Jakiś sportowiec pożąda maszyny do pisania — oferuje oczywiście krótkie spodnie skórzane plus rower męski. Spodnie to wabik — rower-dodatek (Muenchn. N. Nachr.).

Tamten chce dać piękny zegarek za kamerę fotograficzną, ów ciemnobronzowy płaszcz z jedwabną podszewką zbyłby chętnie za buty. Pewna Berlinka czy Berlinianka szuka amatora na buty wojskowe z cholewami — chce dostać w zamian wełniany pulower („Berliner Boersen Ztg.”). Gdzie się podziały mogli, które nosiły te wojskowe buty?

Nawet pięknego jedwabnego abażuru i lampy stojącej gotowa się wyzbyć mieszkanka Hamburga za dobrze utrzymaną dziecięcą garderobę dla trzyletniego chłopca („Hamb. Fremdbt.”). Nie należy się dziwić — wojna trwa już cztery lata — dużo żołnierzy przyjeżdża na urlopy.

Kolumny gazet niemieckich roją się od ogłoszeń, zawierających propozycje wymiany. Wyciągamy pierwszy lepszy numer „Muenchner Neuste Nachrichten”. Data: 30 czerwca br. — 72 inzeratów o wymianie na ogólną ilość 321 drobnych ogłoszeń. Nie jest to cyfra wyjątkowa. W Dortmundzie magistrat stworzył specjalne biuro wymiany, liczące dwadzieścia oddziałów, obejmujących przeróżne ruchomości, głównie garderobę (Hamb. Fremd. 7.IV.43).

Bezgłotkowa wymiana towarów urosła już w Niemczech do skali niebezpiecznego problemu. 29 czerwca br. musiał przemówić w tej sprawie Minister Gospodarstwa Rzeszy, dr Funk, który przy okazji święta Kasy Oszczędności m. Berlina (z tym oszczędzaniem też nie jest dobrze!) grzmiał do niemieckich poddanych:

„... musimy zwalczać handel wymienny, bo gdy występuje on w wielkim zakresie i w formie zorganizowanej, podrywa zaufanie do wartości pieniądza. Dlatego nie tylko państwo, ale każdy obywatel w dobrze zrozumianym interesie własnym musi wystąpić przeciwko demoralizującym i szkodliwym wymianom”.

Piękne słowa, wyjęte z „Hamburger Fremdenblatt” z dn. 30 czerwca br. W tym samym numerze, na dalszych kolumnach kilkadziesiąt ogłoszeń drobnych o wymianie. Inne gazety przeniosły te ogłoszenia do rubryki „Kupno-sprzedaż”: nie chcą organizować szkodliwej i demoralizującej akcji.

Odrębne formy transakcji bezwalutowych stanowią ZAMIANY MIESZKAN I DOMÓW. Przyjrzyjmy się im bliżej:

„Zamienię moje piękne, słoneczne 4½ pokojowe mieszkanie w najlepszej zachodniej dzielnicy Berlina etc. etc. (podano szczegóły) na 6-cio pokojowe mieszkanie z centralnym ogrzewaniem etc. etc. (wymagania) w Górnej Bawarii”.

„Ofiarowuję piękny dom rodzinny w Monastyrze (Wenstalia) etc. etc. za dom wiejski lub willę w południowych lub środkowych Niemczech, Tyrolu, Austrii albo Sudetach. Na żądanie mogę oddać także fabrykę w Westfalii (następują szczegóły)” („Berliner Boersen Ztg.” z 27 czerwca br.).

I tak dalej w tym stylu i w tym... kierunku. Tak było w czerwcu. Wątpimy, czy fabrykant zrobił dobry interes. Nie przewidział, biedak, zajęcia Sardynii i Korsyki, inwazji Atlantów na Włochy. W każdym razie wierzysz jeszcze wówczas w Sudety.

BEZROBOCIE ZLIKWIDOWANE, jest nadmiar pracy, wszyscy szukają biuralistów kierowników, techników, chemików, inżynierów, stenotypistek, aptekarzy — słowem fachowców. Stosunek zapotrzebowania na pracowników do poszukiwań pracy jest przytłaczający. Oto cyfry, wyjęte na chybił trafił z kilku gazet: „Frankfurter Ztg.” z 7.IV br. — posad zaofiarowanych — 164, poszukiwanych — 40; „Berliner Boersen Ztg.” z 20.VI br.: 114 — 13; „Frankfurter Ztg.” z 4.VI br.: 75 — 49; z dn. 16.VI br.: 118 — 0; „Deutsche Allgemeine Ztg.” z 20.VI br.: 39 — 18; „Muenchner Neuste Nachrichten” z 26.VI br.: 108 — 4. Wszyscy mają pracę pracodawcy płacą — pracownicy powinni się cieszyć. Zdaje się, że się nie cieszą: myślą intensywnie, co by tu na co wymienić.

I CO ZJESZ? Z tym nie jest zbyt łatwo. Ale można popić ziółkami:

„Wzmocniająca, lecznicza herbata ziołowa powinna być przyrządzana, jak następuje: tyjka stolowa ziół herbacianych na pół litra wody etc. etc... Ale nigdy nie należy gotować więcej wody, niż to jest potrzebne na herbatę, bo wszyscy musimy oszczędzać węgiel gazu i prądu. Podpis: Zinsser & Co. Leipzig, Heilkräutertees. („Hamb. Fremdbt.” 21.VI.43).

Są i przyprawy: Thymakü, czysto naturalny korzeń ziołowy daje wszystkim potrawom, także bez mięsa (podkr. masze) najprzyjemniejszy smak. Do nabycia w sklepach spożywczych i drogeriach za 13 fen. Jedyny producent: Sehestedt's Gewürz, mühle, Chemnitz („Deutsche Allg. Ztg.” 6.VI.br.). Nie jest tak źle...

Nie wszystkim źle się powodzi: kwitnie handel dziełami sztuki. Czcigodna „Frankfurter Zeitung” oddała swe szpalty na usługi paserów i grabieżców polskich. Francuskich, norweskich i innych obrazów, rzeźb, antyków. W ślad za nią poszła Berliner Boersen Zeitung.

WIELKA MELINA ZŁODZIEJSKA pod skromną nazwą „Gelegenheitskauf” (okazje) albo wprost „Kunst und Buch”. Idą na handel kradzione dzieła Bocklina, Van Dycka, Van Kessela, de Meyera, Courbota — całe galerie obrazów, wędrują z rak do rak rzeźby, sewrska porcelana, piękne meble, perskie dywany, stare książki, inkunabuły.

Drobne ogłoszenia podają, nazwiska mistrzów malarstwa, sięgające w XVI i XVII w., daty powstania dzieł. Niektórzy się nie trudzą: inserują krótko: „Galeria obrazów olejnych, akwarel, sztychów”. Podawane ceny idą w dziesiątki tysięcy. To nie żarty: rozbiła się bania ze sztuką — „Frankfurter Zeitung” z dn. 27.VI. br. — 62 ogłoszenia, z dn. 6.VI.br. — 47.

KULTURA KWITNIE. Ta sama szanowna „Frankfurterka” podaje raz na tydzień programy teatrów niemieckich we wszystkich miastach Europy. Nie brakuje oczywiście Paryża, jest Oslo, Haga, Kraków, Poznań, nawet Cieszyn. Ale co to? Nie ma Hamburga? Może pomyłka, niedopatrzenie, zająrzymy do numeru z innego tygodnia. I tu nie ma. Ciekawe.

Wśród 35 ogłoszeń hoteli w najrozmaitszych miastach (są nawet lwowskie i warszawskie) brak także Hamburga („Frankf. Ztg.” z 6.VI.br., 13.VI.br. i in.). No tak — tam nie mają czasu na chodzenie do teatrów: za gorąco. RAF opiekuje się Hamburgiem.

Nie którzy wchodzą w sytuację. Zdarzają się dobre dusze: „Dama uszkodzona bombami (dosł.: „Dame — Bombengesch.”) będzie zaraz przyjęta — tel. adres”. (Hamburg. „Fremdbt.” 21.VI.br.). Takich ogłoszeń jest mało, bardzo mało. Ale w każdym razie kultura duchowa kwitnie...

WYDAWCY POSZUKUJĄ AUTORÓW: „Pisarze, zwłaszcza młodzi autorzy pięknej literatury (dosłownie: „schoengeistiger Literatur” — „pięknodusznej literatury”) znajdą troskliwą obsługę w berlińskiej firmie wydawniczej. Przejmowanie praw autorskich od innych wydawnictw C.A. 148 B.U.A. Berlin, SW 68” „Frankf. Ztg.” 27.VI.br.

Raj, poprostu raj dla grafomanów. Cóż, kiedy nikt nie pisze.

.....NIEMCY WOLĄ SIĘ UCZYĆ JEZYKÓW. Przejrzeliśmy ogłoszenia nauczycieli i szkół, oferujących naukę języków, i zbadałmy, jakie mianowicie proponują języki. W 80% — język angielski. Specjalnie w Hamburgu namnożyło się kandydatów na poliglotów. Zabawne. („Hamb. Fremdbt.” 25.VI. 2.VI.br. i in.).

Powstają nawet specjalne kółka do nauki tego pięknego, choć trudnego języka:

„Angielskie kółko naukowo-językowe, początkujący i zaawansowani. Seifers, Charlottenburg, Bismarck Str. 11, tel. 34.37.55” („Berliner Boersen Ztg.” 26.VI.br.).

Mają się z czego uczyć — skonfiskowano wszystkie książki angielskie w Polsce. Tak jest w kraju. Ale na froncie...

LUDZIE UMIERAJĄ, ALE JUŻ NIE ZA FUERHIERA I NAKOD. Dużo, bardzo dużo nekrologów z czarnymi krzyżami i swastyką: to wojskowi. Znowu produkuje Hamburg. 27.VI.br. — 32 ogłoszenia żałobne, 26.VI. — 26, 25.VI — 19. Czasem 30, czasem mniej, czasem więcej. Podobnie w innych gazetach. A ludzie umierają tylko raz.

Dla wygody rodzin i klientów RAF-u utworzono specjalną rubrykę „Fuer Trauerfaelle” (pogrzeby). W jednym tylko numerze „Hamburger Fremdenblatt” z dn. 21.VI.br. znaleźliśmy 13-cie takich wygodnych inseratów: higieniczne krematoria, tradycyjne „Beerdigungsueros” — firmy mieszane.

Przeczytaliśmy ponad 200 drobnych, ale wymownych, odciekających łzami, redagowanych z typowo niemiecką czułościwością i pedanterią, nekrologów wojskowych. Na tych 200 żołnierzy różnych stopni i z najrozmaitszych oddziałów — tylko 3 (wyraźnie trzech) padło „Fuer Fuehrer und Vaterland” („S.A. Rottenfuehrer Willy Biehl, podoficer lotnictwa Kurt Daugl — „Hamb. Fremdbt.” z 27.VI.br.; płatnicy wojskowy Walter Pott — „Hamb. Fremdenbl.” z 20.VI.br.).

Reszta „zginęła śmiercią bohaterką” lub poprostu „padła”, ba, czasem nawet „musiała oddać życie”, przeważnie na froncie wschodnim.

Taki np. Herman Heinrich który „musiał oddać życie”, „poszedł za swoim poległym w wojnie światowej ojcem” („Sein Leben lassen musste. Er folgte seinem im Weltkrieg gefallenen Vater”). („Hamb. Fremdbt.” 27.VI.43).

Nie tak dawnie było. Piszący te słowa przeglądali b. wiele nekrologów żołnierskich, publikowanych w prasie niemieckiej po kampanii wrześniowej. Tamci zginęli wszyscy „bohatera śmiercią za Wodza i Naród”.

Coś się psuje. Nawet umarli przemawiają już innym językiem

(as-set)

MASZYNY BIUROWE

Reparacje — Wszelkie artykuły biurowe —
Pieczętniki — Polskie członki do maszyn do pisania

WYPOSAŻENIE BIUROWE BRAUN & SON
TEL-AVIV, ul. Herzla 13 Tel. 2623



PRZEGLĄD POLITYCZNY

Z PRASY OBCEJ

Wszystkie komentarze prasowe świadczą, że wyniki konferencji moskiewskiej uznane zostały zarówno w Londynie, jak i w Waszyngtonie za wielki sukces. Również i barometr polityczny Moskwy wskazuje na pogodę. Rosjanie zgodzili się na przystąpienie do międzynarodowej komisji walutowej. Mowa, jaką Stalin wygłosił w przeddzień rocznicy rewolucji, była ze wszystkich jego mów najbardziej aliancek w tonie. Pamiętamy wszyscy w jaki sposób Rosjanie domagali się stworzenia drugiego frontu. W mowie Stalina znalazło się miejsce i na to żądanie, ale w jak zaskakująco kurtuazyjny sposób zostało ono sformułowane.

Kiedy konferencja moskiewska dochodziła do skutku, patrzyliśmy na nią wszyscy jako na rozmowy przygotowawcze, które miały oczyścić drogę dla spotkania wielkiej trójcy: Roosevelta, Churchilla i Stalina. Tymczasem okazało się, że konferencja w całym szeregu istotnych spraw osiągnęła porozumienie. Już sam zakres tych spraw, o których mówi ogłoszona na zakończenie konferencji deklaracja, świadczy o zasięgu osiągniętego porozumienia. A przecież porozumienie dotyczy napewno także i spraw, deklaracja nie objętych. W ten sposób konferencja moskiewska uczyniła spotkanie wielkiej trójki właściwie zbytecznym. Jeśli w najbliższych tygodniach nie wypłyną jakieś nowe, niespodziewane momenty, należy spodziewać się, że konferencja ta nie dojdzie teraz do skutku. Ostatecznie, trudno przypuszczać, aby trzech starszych panów — z których jeden jest: znanym domatorem — odbywało daleką i uciążliwą podróż dla wymiany zdań na temat pogody.

Z postanowień deklaracji trzeba przede wszystkim wymienić jedno, to mianowicie, które stwierdza, „konieczność stworzenia w najbliższej możliwej przyszłości ogólnej międzynarodowej organizacji, opartej na zasadzie jednakowej suwerennej równości wszystkich, miążących pokój państw”. Deklaracja unika nazwy Ligi Narodów, nie chce nawiązywać do instytucji, która w oczach szerokiej opinii skompromitowała się swoją nieudolnością. W powstrzymaniu wojen i agresji. Kpiny z Ligi Narodów były przed wojną w modzie. Dziś dopiero orientujemy się, że chociaż ta Liga Narodów, jaka funkcjonowała w Genewie, była mało skutecznym narzędziem pokoju, to jednak pomysł stworzenia takiej organizacji był wielkim krokiem naprzód na drodze do wprowadzenia zasad prawa w stosunki między państwami. Toteż z faktu, że pierwsza taka próba się nie powiodła, wcale jeszcze nie wynika, że musimy zrezygnować z wszelkich, w ogóle prób stworzenia nowej, a tym razem skuteczniej działającej instytucji tego typu. W każdym bądź razie my Polacy będziemy chyba ostatnimi, którzyby nie życzyli sobie zarówno powstania takiej instytucji, jak i jak najskuteczniejszego jej funkcjonowania.

Tymczasem jednak instytucji takiej jeszcze nie ma. Zamiast niej ma powstać komitet doradczy trzech mocarstw w Londynie (który narodził się z projektu komitetu śródziemnomorskiego). Miejmy nadzieję, że zgodnie z oświadczeniem deklaracji, mówiącym o „równości wszystkich, miążących pokój narodów”, komitet ten już teraz będzie we wszystkich sprawach, dotyczących interesów innych narodów sojuszników, konsultował się z przedstawicielami tych narodów.

Inny, bardzo istotny moment deklaracji, to porozumienie w sprawie polityki państw sprzymierzonych wobec Niemiec. Jak wiadomo, co do tych planów istniała dotychczas rozbieżność między państwami anglosaskimi z jednej, a ZSRR z drugiej strony. Komitet Wolnych Niemiec świadczy o tym, że Rosjanie mieli swoją receptę na załatwienie spraw niemieckich. Obecnie Komitet ten rozpytnął się w nicłość i Rosjanie przeszli na stanowisko anglo-amerykańskie, stanowisko „bezwzględnej kapitulacji”. W ten sposób rozbieżność zdań między mocarstwami w jednym z najistotniejszych punktów została wyrównana.

Prawdopodobnie nie trudno było o zgodę w sprawie decyzji o przywróceniu do życia niepodległej Austrii. Anglii od początku popierali ruch austriacki, nadeszła zaś niedawno do Jerozolimy zeszty z lata b. r. wydawanej w Moskwie niemieckiej „Internationale Literatur” świadczą, że Rosjanie już od kilku miesięcy przeszli na politykę silnego akcentowania odrębności austriackiej. Znajdujemy tam sporo artykułów na tematy austriackie, przyczem niektóre z nich ogłoszono pod tytułami jak na publicystykę sowiecką raczej niezwykłymi, jak np. „o austriackiej duszy narodowej”.

Dużą niespodzianką było wymienienie w deklaracji jako jednego z jej sygnatariuszy Chin. Zostają to bardzo mile przyjęte w Stanach Zjednoczonych, których opinia widzi w fakcie tym dowód, że obrady konferencji dotyczyły także i spraw Pacyfiku. Czy należałoby z tego wnioskujeć, że powinniśmy się spodziewać zerwania stosunków japońsko-sowieckich? Wniosek taki byłby bardzo ryzykowny. Wszystko wskazuje raczej na to, że obu stronom zależy na kontynuowaniu dotychczasowych poprawnych stosunków.

Deklaracja mówi też o decyzjach, powziętych w celu przyspieszenia końca wojny. Rzecz prosta, trudno wymagać, aby publiczna deklaracja wymieniała, co to za decyzje. Marsz. Smuts w mowie, której wygłoszenie zbliżyło się z rozpoczęciem obrad konferencji (i która była bardzo cenna przez podkreślenie wkładu wojennego państw anglosaskich, często obecnie niedocenianego przez ludzi oszołomionych zwycięstwami sowieckimi), zapowiedział otwarcie drugiego frontu na rok przyszły. Kiedy sobie jednak przypomnimy, że Anglii kilkakrotnie już podawali terminy stworzenia drugiego frontu, których następnie nie dotrzymywali, trzeba sobie powiedzieć, iż wcale nie jest rzeczą wykluczoną, że i tym razem termin nie zostanie dotrzymany i że drugi front otwarty zostanie — wcześniej.

Dużo uwagi poświęca deklaracja sprawom włoskim. Domaga się ona, aby „rząd włoski stał się bardziej demokratyczny przez wciągnięcie przedstawicieli tych wszystkich kierunków narodu włoskiego, które zawsze zwalczały faszyzm”, żąda usunięcia urzędników faszystowskich, zniszczenia instytucji i urzędów, stworzonych przez faszyzm, oraz wydania sądom przywódców faszystowskich.

Trzy mocarstwa sprzymierzone doszły tutaj do porozumienia na zasadach kompromisu. Wpływ tego porozumienia dają się już odczuć, zarówno w Algierze, jak i w Bari. W Algierze znalazło

to wyraz we wzmocnieniu się stanowiska de Gaulle'a i w osłabieniu wpływów gen. Giraud, ostro ostatnio na Zgromadzeniu Narodowym atakowanego. Zmuszono go do ustąpienia z Komitetu. Został na stanowisku wodza naczelnego pod wskazaniem Komitetu. We Włoszech odbiciem tego stanu rzeczy były próby reorganizacji gabinetu Badoglio i związane z nimi żądanie abdykacji króla i następcy tronu, ks. Humberta. Chwilowo król zdołał ocalać swoją koronę. Rachunek przyszło zapłacić generałowi Roatta.

Sytuacja Badoglio jest tu tym delikatniejsza, że Włochom brak w tej chwili wybitnych mężów stanu, reprezentujących te kierunki, które zwalczały faszyzm. We wszystkich komunikatach powtarzają się stale te same dwa nazwiska: Sforzi i Crocco. Sforzi, były minister spraw zagranicznych w gabinecie Giolitti'ego, był przez siedemnaście lat emigrantem, brak mu więc tego istotnego kontaktu z rzeczywistością włoskiego życia politycznego, jaki może dać tylko życie w kraju. Crocco, znakomity filozof, historyk i krytyk, świetny pisarz i pełen temperament publicysta, nie jest emigrantem. Reżim tolerował go, mimo że liberała i zawziętego antyfaszystę, licząc się z wielkim autorytetem, jakim Croce cieszył się w całym kraju. Do samej wojny ukazywał się w Bari przezeń redagowany i w znacznej mierze przezeń wypełniany dwumiesięcznik „La Critica”. Croce nie mógł się tam wypowiadać na tematy aktualnej polityki. Czy to jednak w rozprawach zasadniczych, czy też w studiach historycznych niejednokrotnie bardzo wyraźnie dawał do zrozumienia, co myśli o faszyzmie i jego polityce. Jest to, niewątpliwie, człowiek wielkiej klasy. Niestety, trudno powiedzieć, aby miał jeszcze możność odegrania jakiegś poważniejszego roli we włoskim życiu politycznym. Ma dziś 77 lat. Nie jest to odpowiedniejszy wiek dla rozpoczynania kariery politycznej, zwłaszcza w tak burzliwym okresie, jak obecny.

Jeśli mimo to wysunął się dziś na pierwszy plan włoskiego życia politycznego, jest to w znacznej mierze następstwem tej pustki, jaką faszyzm po sobie zostawił. Dotykamy tutaj jednego z największych nieszczęść, jakie przyniosła ze sobą ustroje autorytaryjne. Hamują one naturalne kłanie elit. Elita własna skutek sprawowania niekontrolowanej władzy z reguły degeneruje się. Równocześnie zaś tępi się elita, reżimowi wroga.

Problem ten w jeszcze ostrzejszej formie stoi obecnie przed Niemcami.

Dlaczego Niemcy jeszcze nie biją? Do jesieni ubiegłego roku, t. j. do klęski pod Stalingradem i ładowania wojsk amerykańskich w Afryce Północnej, Niemcy bili się, aby wygrać wojnę. Potem bili się poto, aby w odpowiednim momencie wyzyskać różnice zdań, jakie zarysowały się w obozie państw sprzymierzonych i wytargować dla siebie kompromisowy pokój z jedną stroną, jeśli nie z dwiema. Konferencja w Moskwie stawia krzyżyk na tych nadziejach. Równocześnie ogromnie pogorszyła się w ostatnich dniach sytuacja wojenna Niemiec. Do momentu klęski pod Melitopolem odwrót Niemców na froncie wschodnim miał charakter regularnego wycofywania się armii. Niemcy tracili teren, ale z klęski ocalał żołnierz i w znacznym procencie sprzęt wojenny. I oto w ostatnich tygodniach na południowym odcinku frontu wschodniego sytuacja uległa zupełnej zmianie: armie niemieckie rozbita uciekały w nieładzie i w znacznej mierze zostały przez Kozaków zniszczone. Postępy rosyjskie na tym odcinku frontu były też nadszperkowane szybko.

Obecnie ta sama sytuacja powtarza się w rejonie na zachód od Kijowa. Bardzo znamienity był też i sam moment zdobycia Kijowa. Rosjanie wznowili ataki na Kijów w przededniu święta rewolucji z wyraźnym zamiarem zdobycia miasta właśnie na samo święto. I udało im się to. Miara to tego, jak bardzo są teraz panami położenia na froncie (a równocześnie i bardzo charakterystyczny rys dla ZSRR, w którym względy strategiczne mogą być podporządkowane momentom natury propagandowo-agitacyjnej).

Równocześnie przyspieszyło się tempo posuwania się armii sojuszniczych na półwyspie Apenińskim.

Zarówno więc sytuacja polityczna jak i wojskowa Niemiec w ciągu ostatnich tygodni ogromnie się pogorszyła. Perspektywy ich wyglądają w tej chwili beznadziejnie. Dalsze prowadzenie wojny, to dalsze hekatomby żołnierzy, padłych na froncie wschodnim, dalsze niszczenie miast niemieckich, bez szans aby ofiary te mogły wpłynąć na poprawienie się sytuacji.

Ale jak z niej wybrnąć? Propaganda Goebbelsa ma najzupełniejszą rację, kiedy mówi, że teraz to już nie rok 1918, że dziś sytuacja jest inna. Rzeczywiście jest inna, ale na korzyść roku 1918. Wtedy pokoleństwo było względnie proste: kaiser poszedł, do głosu przyszły partie republikańskie.

Dziś wybrnięcie Niemiec z impasu jest bez porównania trudniejsze. Przede wszystkim Hitler zawiązał ze sobą zbrodniami reżimu dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy Niemców. Istnienie ich jest związane ściśle, jak najściślej z dalszym istnieniem czy upadkiem tego reżimu. I są to ludzie, trzymający w swym ręku władzę.

A następnie, komu władzę tę przekazać? I dlatego mimo że sytuacja Niemiec jest najoczywistej beznadziejna, a dalsze prowadzenie wojny z punktu widzenia interesów niemieckich nonsensem — wcale nie jest rzeczą wykluczoną, że wojna może się jeszcze przez dobre kilka miesięcy przeciągnąć. Reżim, który obliczał istnienie swoje na tysiąclecia, nie łatwo może się pogodzić z myślą, że goziny jego są policzone. Hitler systematycznie palił za sobą mosty. Widział w tym element siły. Zahypnotyzowany powodzeniem szedł drogą, która wykluczała możliwość nie tylko klęski, ale i kompromisu. Jego mowa monachijska z 8 listopada, była krzykiem człowieka, który znalazł się na skraju przepaści i nie może się cofnąć. Będzie dla dalekich wieków odstraszającym przykładem, pokazującym do czego mogą doprowadzić rządy dyktatorskie i mistyka w polityce.

ww.

Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valera

Wydawca: Ignacy Pokryw
Redaktor: St. A. Balicki
Drukarnia: The Jerusalem Press

Wickham Steed o „Zarysach zwycięstwa”

W lipcowym zeszycie londyńskiego „Contemporary Review” Wickham Steed drukuje artykuł p. t. „Zarys zwycięstwa”. Steed twierdzi w nim, że jest już czas, aby narody sprzymierzone rozwały, co zwycięstwo będzie dla nich oznaczało. Państwom nieprzyjacielskim stosunkowo łatwo będzie wymierzyć twardą sprawiedliwość i narzucić im warunki, które zapewnią innym narodom bezpieczeństwo. Natomiast trudniejszą sprawą będzie utrzymanie samych narodów sprzymierzonych jako załóżka „przyszłej organizacji braterstwa narodów, opartej na ich równości”, jak to powiedział Stalin w liście do przedstawiciela Reutersa z dn. 28 maja b. r.

Autor pisze, że „choćby to było prawdą, iż Wielka Brytania i Brytyjska Wspólnota Narodów oraz Stany Zjednoczone, Rosja Sowiecka i Chiny muszą być uważane za główne filary porządku i wolności w oswobodzonym świecie, to jednak mocarstwa te popełniłyby błąd, gdyby traktowały wielkość terytoriów i siłę jako jedyne źródło wpływów i praw. Koncepcja Zjednoczonych Narodów, która ma zasadniczo moralny charakter, zastąpiłaby zwycięstwo, gdyby ustąpiła miejsca całkowicie lub przede wszystkim koncepcji wielkich mocarstw, albo też gdyby była oparta na jakiegokolwiek innej zasadzie, a nie na wielkości, w zdolności służeńia trwałej wspólnej sprawie”.

Sukcesy w budowie pokoju będą pod wieloma względami trudniejsze niż w prowadzeniu wojny, choć więzy, zadzierżgnięte w czasie wojny, powinny łączyć państwa we wspólnym wysiłku po wojnie. Zjednoczone Narody nie wzdrygały się dać „wszystko, co posiadają, lub wszystko, czym są”, na rzecz zwycięstwa. Amerykański Lease and Lend jest tego najlepszym przykładem.

Wszyscy mogą się spodziewać, że osiągną zwycięstwo dostateczne bezpieczeństwo przed ewentualną napaścią w przyszłości. Jednakże nie wszyscy są zdolni do zrozumienia, że stopień bezpieczeństwa zależęć będzie od zgodnych wysiłków i poświęceń. Niektórzy skłonni są myśleć o swoim bezpieczeństwie przede wszystkim kategoriami granic strategicznych, słusznych roszczeń lub pomocy w zakresie odbudowy zniszczeń, korzyści ekonomicznych lub też warunków dobrobytu, a z drugiej strony łatwo będą zapominać, że bezpieczeństwo powszechne i dobro wspólne mogą wymagać podporządkowania tym celom pewnego zakresu suwerenności państwowej.

Tendencja myślenia kategoriami własnego bezpieczeństwa jest w zasadzie naturalna i słusza. Warunki jednak się zmieniły. Żadne mocarstwo na świecie nie może być pewne utrzymania się przy życiu o własnych siłach. Niestety — dodaje autor — współpraca myśli w tym zakresie nie zastąpiła jeszcze myślenia jednostkowego.

Ze smętnego rozwoju wypadków po pierwszej wojnie światowej autor wyciąga dalszy wniosek, że „w Anglii nie możemy i nie powinniśmy oczekiwać za każdym razem przewodnictwa Stanów Zjednoczonych, ale powinniśmy — nawet z pewnym ryzykiem dla nas samych — prowadzić taką politykę, by społeczeństwo Stanów Zjednoczonych spontanicznie uznało, że powinno być z nami związane w interesie dobrobytu i wolności od strachu przed nową napaścią”.

W artykule znajdujemy też uwagi na temat konfliktu polsko-sowieckiego. Czytamy tam n. in.: „Dotąd jednakże trudno było Polakom kochać Rosjan. Setki tysięcy ich rodaków zostają zesłanych do wschodniej Rosji i na Syberię w r. 1940;

dzieci były oddzielane od rodziców, zaopatrzenie w żywność i odzież były niedostateczne. Niemal 1/10 polowa przedwojennego terytorium Polski została wcielona do Związku Sowieckiego, a Polacy, mieszkający tam, nie tylko Białorusini i Ukraińcy, zostali zaliczeni do obywateli rosyjskich. W tych warunkach gen. Sikorski wykazał dużo odwagi i prawdziwą mądrość polityczną przez negocjowanie i zawarcie układu rosyjsko-polskiego z r. 1941 oraz przez wejście w „modus operandi”, jeśli nie w formalny sojusz z Rosją. Nie można też powiedzieć, by cała albo nawet główna wina za niezadowolające funkcjonowanie układu obciążała stronę polską”.

Straty brytyjskie w pierwszej i drugiej wojnie światowej

Londyński tygodnik „Observer” z dnia 29 sierpnia b. r. zestawia straty brytyjskie w ciągu czterech lat pierwszej i drugiej wojny światowej. W ciągu czterech lat pierwszej wojny światowej Imperium Brytyjskie straciło w zabitych 1,089 000 żołnierzy, a w rannych — 2,400 000. Zaś w ciągu czterech lat obecnej wojny liczba żołnierzy zabitych wynosiła 92 000, rannych — 315 000. Cyfry te należy uzupełnić o liczbę ofiar spośród ludności cywilnej. Do lipca 1943 r. zabitych podczas bombardowań było 49 857 osób, rannych — 59 215. Na skutek zaciemnienia w wypadkach na drogach zabito 10 566 osób.

Naloty na Hamburg w cyfrach

Londyński dziennik „Daily Mail” w numerze z dn. 6 sierpnia b. r. zamieszcza artykuł, w którym podaje dane statystyczne, ilustrujące, ile trzeba było włożyć pracy w zniszczenie Hamburga. Bombardowania zniszczyły w Hamburgu 3 600 akrów na 7 400 akrów całkowitej powierzchni miasta. Atak lotniczy przeprowadzono z 60 wielkich lotnisk brytyjskich; łącznie w nalotach wzięło udział 5 600 lotników. W czasie jednego z nalotów 4 600 lotników było równocześnie nad Hamburgiem. Nieco więcej niż 100 000 lotniczego personelu naziemnego i służby pomocniczej kobiet (WAAF) brało udział w obsłudze tych lotów: przygotowaniu bomb, ładowaniu bomb, sygnalizacji, planowaniu, przyjmowaniu powracających samolotów i lotników, służbie wywiadu lotniczego, fotograficznej i t. p. Dyscyplina tych lotów była wprost „żelazna”, — pisze gazeta, — gdyż jeśli np. bombardier, ustawiony na lotnisku, z jakiegokolwiek przyczyny opóźnił start o więcej niż dwie minuty, został wycofany z lotu, by nie zakłócać porządku.

Perspektywy wojny w świetle amerykańskiej ankiety

Londyńska „News Chronicle” w numerze z dn. 13 sierpnia b. r. donosi z New-Yorku, że sukcesy wojskowe Sprzymierzonych na ogół nie przyczyniły się do podniesienia optymizmu w Stanach Zjednoczonych. Ankieta Instytutu Gallupa wykazuje, że tylko 8% Amerykanów uważa, że Niemcy zostaną pokonane w tym roku, 31% przypuszcza, że nastąpi to w pierwszej połowie 1944 r., 34% uważa, że w drugiej połowie 1944 r., 18% jest zdania, że zwycięstwo nad Niemcami nastąpi w 1945 r., a są i tacy — jest ich 4%, którzy uważają, że dopiero w r. 1946 lub później Niemcy zostaną pokonane, 4% wstrzymało się od głosowania.

Jeśli idzie o front na Pacyfiku, to tylko 1% uważa, że pokonanie Japonii nastąpi w tym roku, 23% sądzi, że w r. 1944, 36% — że w r. 1945, a 35% jest zdania, że nie wcześniej niż w r. 1946.

KRONIKA POLSKA

— Nakładem Książnicy Polskiej w Glasgow wyszła książka Mieczysława Lisiewicza „Kroniki Narocańskie”. Książka ta ma swoją osobliwą historię: została ona złożona do druku w sierpniu 1939 r. Zna autora, zmobilizowanego do wojska, zabrala jej odbitki korektowe ze sobą na zesłanie, na Syberię. Z odbitek tych książkę przedrukowano obecnie w Szkocji.

— Delegatura na Środkowym Wschodzie Polskiego Czerwonego Krzyża wydała w Jerozolimie dra Józefa Stawskiego „Organizację Polskiego Czerwonego Krzyża” (zarys prawny). Część druga książki przynosi statut PCK i teksty rozporządzeń o PCK.

— Zeszyt z dn. 15 września 1943 r. poświęcającego Polsce dużo miejsca, londyńskiego miesięcznika „La France Libre” przynosi Marii Kuncewiczowej „Une matinée perdue”.

— Wrażliwość zeszyt wielkiego nowojorskiego miesięcznika „Harper's Magazine” przynosi Williama Zukermanna „The Revolt in the Warsaw Ghetto”.

— Polski Instytut Naukowy w Ameryce rozpoczął wydawanie w Nowym Jorku serii prac naukowych polskich uczonych w języku angielskim. Jako pierwsze cztery tomy serii („Polish Institute Series”) ukazały się: Wojciecha Świętosławskiego, prof. Politechniki Warszawskiej, „Coke Formation Process and Physico-Chemical Properties of Coals”, Aleksandra Turyna, prof. Uniwersytetu JP. w Warszawie, „The Manuscript Tradition of the Tragedies of Aeschylus”, Oskara Haleckiego, profesora Uniwersytetu JP. w Warszawie, „The Crusade of Varna — A Discussion of Controversial Problem” i Mieczysława Halmana, badacza dziełowej emigracji polskiej w Ameryce, „Kościszko i w the American Revolution”.

— Jako nr 7-9 wydawanej w Jerozolimie pod redakcją dra Ł. Kurdybachy „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie” ukazały się: Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”, Kazimierza Tetmajera „Książę Piotr”, Marii Rodziewiczówny „Lato leśnych ludzi”.

— Nakładem Allena & Unwina w Londynie wyszła książka Roberta Machraya „East Prussia. Menace to Poland and Peace”.

— Nakładem Hutchinsona w Londynie ukazała się książka Stefana Kleczkowskiego „Poland's First 100 000. A story of the Rebirth of the Polish Army, Navy and Air Force after the September Campaign, Together With a Biographical Note About its Creator, General Wł. Sikorski”.

— Nakładem Kolina w Londynie ukazała się broszura propagandowa Zbigniewa Grabowskiego w języku angielskim „Europe Expects England”.

— Marian Piotrowski, oficer polski wzięty do

niewoli niemieckiej w czasie walk we Francji w r. 1940, któremu udało się po roku uciec z niewoli do Anglii, wydał w Londynie nakładem Lindsay Drummonda w przekładzie L. J. Jareckiej „Adventures of a Polish Prisoner”. Książkę, poprzedzoną przedmową Victora Cazaleta, ilustrował Jean Geddes.

— Jako pierwszy tom „Biblioteki Orła Białego” ukazują się w Jerozolimie Jana Szuldrzyńskiego „Dziełowa idea Państwa Polskiego”.

— W Londynie, nakładem wydawnictwa „Icar Publications Ltd.” ukazały się nowe wydanie książki dla dzieci Stefana Themersona „Pan Tom buduje dom”. Książkę ilustrowała Franciszka Themerson.

— Zenon P. Szczygielski wydał w Tel-Awivie książkę p. t. „Skreślone życie”.

— Nakładem Kolina w Londynie ukazały się zebrane w osobnej książce „Proroctwa i przepowiednie, dotyczące obecnej wojny”. Z prawdziwą przykrością stwierdzić należy, że wydawnictwo mające — zdawałoby się — poważane ambicje literackie, nie powstydziło się dać swojej firmie dla tego rodzaju straganowej i ogłupiającej literatury.

— Nakładem Składnicy Księgarskiej w Edynburgu ukazała się „Opowieść lotnicza” Porucznika Herberta „Żądło Genowefy”.

— Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wydało w Londynie jako drugi tom „Biblioteki Rzemiosł i Techniki” mgra Józefa Kasztelewicz „Prawo rzemieślnicze”.

— Nakładem Roberta Hale'a w Londynie ukazała się książka Simona Segalla „Nazi Rule in Poland”. Książkę poprzedził przedmową Raymond Leslie Buell.

— W Detroit wyszła nakładem autora książka ks. Stanisława Targosza „Polonia katolicka w Stanach Zjednoczonych w przekroju”. Książkę poprzedził przedmową ks. bp. Stefan S. Woźniak.

— W nowym kwartalniku literackich pisarzy alianckich „Review 43” p. Zofia Kwiatkowska zamieściła artykuł p. t. „Literature in Poland under the Occupation”.

— Londyński miesięcznik „The Fortnightly” zamieszcza w sierpniowym zeszycie artykuł Stephana Gwynna o książce Ewy Curie „Madame Curie”. Artykuł jest entuzjastyczny. Gwynn uważa, że książka Ewy Curie „to najwybitniejsza biografia, jaka kiedykolwiek została napisana”. Książka ta, jego zdaniem, uczci szacunek dla Polaków. „Jedynie naród o wyjątkowych właściwościach może wydać takie połączenie szlachetnej rycerskości Don Kiszota oraz wielkiego daru praktycznych osiągnięć. Taki naród zasługuje na to, aby być chroniony przez Europę jako skarb najwskazy, a ze względu na swe położenie geograficzne Polska potrzebuje ochrony”.